

W DRODZE

D W U T Y G O D N I K P O L I T Y C Z N Y I L I T E R A C K I

Nr. 13 (55)

Jerozolima, 1 sierpnia 1945 r.

Rok III

ZWYCIĘSTWO LABOUR PARTY

Churchill odszedł. Spełniło się w stosunku do niego to, co sam pisał w epilogu swych pamiętników z pierwszej Wielkiej Wojny, iż wódz narodu w chwilach walki rzadko bywa jego właściwym przywódcą w dobie pokoju.

W ciągu swego z górą pięcioletniego premiershipu przypadającego na jeden z najcięższych okresów w dziejach Anglii, Churchill — gdy przeminął krytyczny moment — parokrotnie stawiał w parlamencie kwestię zaufania, ażeby osobistym autorytetem wesprzeć wątpliwe rozwiązania.

Tak było podczas głosowania nad raportem z konferencji jaffańskiej, tak było podczas sporu o przyznanie równych stawek uposażenia dla nauczycieli i nauczycielek. W tym ostatnim wypadku rządowi poważnie groziło znalezienie się w mniejszości wobec oczywistych wad przedłożenia rządowego. Izba domagała się równego oceniania pracy kobiet i mężczyzn, mniej może zwracając uwagi na to, że demokratyczne potraktowanie tej sprawy wywołałoby w Anglii niemal przewrót w dziedzinie uposażeń, zachęcając poprzez rozwiązanie umieszczone w ustawie szkolnej do ogólnej zmiany stosunków w owej dziedzinie. Rząd natomiast był zdania, iż ze względu na wysiłek wojenny usiłowanie poprawy stosunków w tym zakresie jest nie na czasie. Nonsensowność uposażeń była jednak do tego stopnia uderzająca, że w owym konflikcie, jakże nieproporcjonalnym w stosunku do wagi rozstrzygnięć wojennych, tylko groźba dymisji Churchilla powstrzymała parlament od wprowadzenia poprawek w projekcie rządu.

Dzisiaj Churchill, tak wtedy zatrzymywany, otrzymał od swych wyborców radę odejścia. Spotkał go los podobny do losu Clemenceau, do załamania się kariery Lloyd George'a, który wprawdzie stworzył pokój, ale skompromitował próbę realizacji istotnych angielskich celów wojny na Bliskim Wschodzie.

Jest w Anglii w zwyczaju, że zwycięzcy marszałkowie otrzymują w nagrodę swych usług tytuły parowskie i odchodzą w zacisze Izby Lordów. W ten sposób unika się połączenia laurów zwycięstwa z ambicjami życia politycznego i stosuje się wobec generałów, zbyt popularnych jak na współczesną demokrację, angielskie powtórzenie greckiego ostracyzmu. Podobnie i Churchill mógł otrzymać — na wzór Wellingtona — nawet i tytuł księcia i odejść za życia w nieśmiertelność sławy. Wybrał zamiast tego dumny projekt dalszych rządów — nęciła go zapewne perspektywa podpiśnięcia swego imienia pod podwójnym zwycięstwem: nad Niemcami i nad Japonią. Zaczęły to jednakże z zamiarem zapewnienia przewagi politycznej dla partii konserwatywnej i ten alians ogólnonarodowej roli, jaką odegrał, że służyła dla interesów jednej grupy, wywołał jego upadek. Jeden z największych premierów, jakich miała Anglia, zasiał na ławie opozycji Jego Królewskiej Mości.

Cokolwiek powiemy o wyniku wyborów, wyborów przynoszących głęboką zmianę w życiu Anglii, trudno oprzeć się podziwowi dla angielskiego systemu rządów, dla kultury politycznej tego kraju, gdzie zwycięzca w decydującej wojnie nie sięga po dyktaturę, nie głosi zasady synekury i rekompensat dla swych współpracowników i swego obozu partyjnego, ale odchodzi, posłuszny wynikowi wyborów, tak jak przyszedł, to znaczy — podporządkowany za każdym razem prawu i woli społeczeństwa.

Wyda się, że premier Churchill miał szanse pozostania, lub że przynajmniej dawało to do zrozumienia ze względów kurtuazyjnych. Prasa wszystkich głównych kierunków podkreślała jego rolę jako lidera o klasie nie do zastąpienia w dzisiejszych warunkach angielskich, czyniąc z Churchilla niemal instytucję narodową. Zgadzano się co do konieczności odświeżenia parlamentu i zmiany rządu, ale przewidując raczej wyrównanie sił i potrzebę nowej koalicji, choćby nawet z lekką przewagą lewicy, niejako z góry rezerwowano Churchillowi czołowe miejsce. Była to zachęta, aby Churchill powtórzył gest MacDonalda — odszedł od swej partii i stanął na czele odnowionego rządu jednolitości narodowej.

Churchill pozostał wierny konserwatystom, tym samym konserwatystom, którzy przez tyle lat trzymali go na uboczu i których wewnętrzny opór musiał przełamać, aby móc zająć miejsce Chamberlaina. To zejście z piedestału, to właśnie pomniejszenie się, zmia-

na wielkiego formatu na partyjny, osłabiło blask imienia Churchilla w kampanii wyborczej i przyczyniło się do przegranej konserwatystów, wysuwających raczej potrzebę wybitnego kierownika państwa, niż konsekwentny program wewnętrzny.

II

Zwycięstwo Labour Party jest bez precedensu w dziejach angielskiego ruchu socjalistycznego. Labourzyści uzyskali ilość mandatów znacznie przekraczającą większość absolutną i dominują w nowym parlamencie, nieskrępowani aliansami, zdolni do przeprowadzenia całego programu ustaw tylko głosami własnej partii.

Partia Pracy po raz pierwszy zjawiała się na tle tradycyjnego układu sił: konserwatystów — liberałów, w roku 1900, uzyskując 63.000 głosów i 2 mandaty. Do końca pierwszej wojny światowej Labour nigdy nie zdołała osiągnąć w wyborach miliona zwolenników, pozostając na dalszym planie wobec systemu dwupartyjnego. Dopiero przemiany społeczne związane z okresem 1914-1918, rozwój hasła międzynarodowego socjalizmu, ideologia pacyfistyczna i entuzjazm dla Ligi Narodów sprawiają, że w r. 1918 labourzyści otrzymują blisko dwa i pół miliona głosów, choć w angielskim systemie wyborczym nie wyraziło się to odpowiednio wysokim wzrostem mandatów.

Od tej pory datuje się szybki rozwój Partii Pracy, stopniowo spychającej w cień ugrupowania liberalne, aż wreszcie sukces Labour w roku 1929 przekreśla na przyszłość rolę liberałów. W roku tym Partia Pracy po raz trzeci dystansuje Partię Liberalną ilością otrzymanych głosów, tym razem w sposób decydujący (8.379.978 w stosunku do 5.301.127). Labourzyści dostają 288 miejsc w parlamencie, liberałowie zaś tylko 59. Równocześnie konserwatysty zyskują mniej miejsc niż Labour.

Labour staje się najpoważniejszą partią parlamentu, choć nie posiada absolutnej większości. Udzielając jej poparcia liberałowie o sympatiach lewicowych, co pozwala na stworzenie rządu labourzystowskiego, tym niemniej wskutek specyficznej metody wyborczej, używanej w Anglii, zaczyna odgrywać rolę drugiego czynnika: ilość otrzymanych głosów modyfikująca znaczenie rozdziału mandatów.

Anglia nie stosuje systemu proporcjonalnego, mandat przypada kandydatowi, który otrzymał największą ilość głosów w swoim okręgu. Wskutek tego zawsze możliwe są różnice między przewagą głosów, a przewagą mandatów, partia zaś najszabsza otrzymuje mandaty w rażącej dysproporcji do zebranych głosów. W r. 1929 konserwatysty, mimo że słabsi w parlamencie, posiadali jednak znaczną przewagę głosów (8.658.729:8.379.978) razem zaś z liberałami (5.301.127 głosów, chociaż tylko 59 mandatów) tworzyliby zdecydowaną większość opinii publicznej. Labour znalazła się więc wówczas wobec pływnej sytuacji w parlamencie i bez dostatecznego poparcia w społeczeństwie. Przywódcom partii zabrakło niejako odwagi dla przeprowadzenia zapowiadanych w programie reform, konieczności zaś parlamentarne i sytuacja finansowa doprowadziły wreszcie po dwóch latach do rządu koalicyjnego, pod przewodnictwem MacDonalda, poprzednio premiera niezbyt udanego gabinetu labourzystów.

W wyborach rozpisanych przez nowy rząd jednolitości narodowej (z silnym udziałem konserwatystów), MacDonalda poniosł dotkliwą klęskę, Labour, nie wyzyskawszy poprzedniego sukcesu, spadła do około 6 milionów głosów, ulegając ponadto rozładowaniu na właściwą Labour Party i National Labour Party, której nazwa podkreślała intencje

współuczestnictwa w rządzie koalicyjnym. Równocześnie masy, dostrzegając istnienie istotnych przeciwieństw głównie między torysami i labourzystami, przeczuciły głosy na stronę konserwatystów — liberałowie ponieśli klęskę, z której nie zdołali się podnieść do dziś dnia. Konserwatysty zaś w wyborach 1931 r. weszli do parlamentu z ca. 13 milionami głosów i 519 mandatami na tle 52 mandatów socjalistycznych i zaledwie 37 mandatów liberalnych. Ster rządów po krótkiej przerwie w istocie rzeczy powrócił w ręce partii zachowawczej, choć MacDonalda aż do następnych wyborów pozostał na stanowisku premiera rządu jednolitości.

III

Rozwiązany w czerwcu br. parlament był jednym z najstarszych angielskich parlamentów i, objęty datami 1935-1945, mógłby ilością lat swego istnienia współzawodniczyć z parlamentem doby Cromwella.

Powołany do życia wyborami 1935 roku był jednym więcej między dwiema wojnami parlamentem konserwatywnym. Liberali zachowali w przybliżeniu dawną ilość głosów w wyborach, choć uzyskali mniej miejsc, Labour podniosła się ze swojej porażki w r. 1931, i oparta na blisko 8 i pół miliona głosów otrzymanych w wyborach, rozporządzała 158 miejscami, dominującą jednak pozycję mieli konserwatysty z 431 miejscami, jeżeli do liczby właściwych konserwatystów (387) doliczyć różne zbliżone do nich grupy.

Konserwatywny parlament wydał konserwatywny rząd, odpowiedzialny za politykę appeasementu wobec Niemiec, nieuzbrojenie Anglii, Monachium, a na terenie wewnętrznym — za falę bezrobocia i kryzysu w górnictwie. I równocześnie ten sam parlament potrafił zająć mocne stanowisko w sprawie Polski, wypowiedzieć wojnę Niemcom, obalić Chamberlaina, powołać Churchilla, utworzyć rząd koalicyjny, który skupił wszystkie siły narodowe i dał Anglii zwycięstwo.

Koalicja partii, jaka pod wpływem wydarzeń na froncie w r. 1940 objęła rządy pod przewodnictwem Churchilla, była jedną z najszcześliwszych i najlepszych w dziejach nowoczesnego parlamentu angielskiego. Wobec dziś ujawnionych antagonizmów wykazuje ona jak wiele wspólnych celów posiadała wszystkie ugrupowania polityczne, jak wiele pożytecznych reform można było dokonać połączonymi siłami.

Dalsze prowadzenie wojny z Japonią mogło przedłużyć trwanie koalicji, ale zbyt był już silny nacisk nowych warunków życia w Anglii, warunków zbliżających się do normalnego stanu życia pokojowego. Jeżeli nie na plan pierwszy, to przynajmniej na miejsce równe zagadnieniom walki na Dalekim Wschodzie i kwestiom polityki zagranicznej wysunęły się sprawy wewnętrzne. Ich zaś rozwiązaniu nie podobałyby ani dawna podstawa koalicji, ani dawny parlament. Gdyby koalicja miała przetrwać, musiałaby się oprzeć na nowej umowie między partiami, uwzględniającej plan dalszych reform społecznych.

Przed dwoma laty dawała no temu nadzieję mowa Churchilla, snująca wizję czteroletniego planu przebudowy Anglii — ale w momencie zakończenia wojny konserwatysty ulegli pokusie wyzyskania zwycięstwa dla wzmocnienia sił partii i chociaż odnowiła działalność za rozbięcia koalicji obciąża się Labour Party, w istocie rzeczy myśl ta nie była również daleka i od partii torysów. Przede wszystkim jednak wymagała zmiany parlamentarna podstawa rządu — 10-letni parlament był już przeżytkiem, nie mógł reprezentować dozwolonej pełnej opinii społeczeństwa. Dość wspomnieć, że w momencie jego rozwiązania obliczano na 7 milionów ilość

W numerze:

Zbigniew Grabowski: Co zrobić z Niemcami? — Stanisław Baliński: Smutek zwycięstwa. — Tymon Terlecki: Dramat Guglielma Ferrero. — Beata Obertyńska: Wojna. — Witold Turno: Historia Judyty. — Zygmunt Kowalewski: Grób Absalona (rysunek). — Jerzy Larren-Lenczowski: Listy z Persji. — Scrutator: Także chcieli niepodległej Polski... Wojna polsko-niemiecka.

obywateli, którzy uzyskali w międzyczasie czynne prawo wyborcze, ale którzy nie mieli jeszcze ani razu sposobności wyrazić swej woli wobec przedłużanego ciągle trwania parlamentu. Bez względu więc na koalicyjne czy partyjne rozwiązanie problemu rządu charakter parlamentu wymagał odnowienia kontaktu ze społeczeństwem.

W końcu maja koalicja rządowa uległa rozbięciu. Już mniej więcej przed pół rokiem przywódca Labour Party, Attlee, pod naciskiem zarzutów ustępliwości i wkraczania w ślady MacDonalda, stawianych mu na terenie partii, zapowiedział, że po zakończeniu wojny z Niemcami podda dyskusji i decyzji kongresu partyjnego sprawę dalszego pozostawiania Labour w rządzie i współpracy z konserwatystami.

Od tego momentu datuje się w koalicji atmosfera, którą Churchill nazwał „zapachem rozkładu”. Wśród rosnących wzajemnie antagonizmów, premier Churchill wystosował 18 maja listy do przywódców partii rządowych, a więc do Sir Arch. Sinclaire, lidera liberałów, Sir E. Browna, lidera tzw. liberałów narodowych (grupa zbliżona do torysów) i do obecnego premiera Attlee.

W imieniu konserwatystów Churchill proponował przedłużenie koalicji na dawnych podstawach aż do ukończenia wojny z Japonią, o losie zaś parlamentu miało zdecydować referendum ludowe. Obie frakcje liberałów przyjęły ofertę, natomiast odpowiedź Attlee stanowczo ją odrzucała, określając projektowane referendum jako „instrument stosowany zbyt często przez hitlerizm i faszyzm”. Zarazem Attlee zawiadamiał o zrezygnowaniu Labour z dalszej współpracy i w imieniu swej partii wysunął październik, jako ewentualny miesiąc wyborów. Churchill odpowiedział rozwiązaniem parlamentu w dn. 15 czerwca i wyznaczeniem wyborów na 5 lipca.

Ow nieoczekiwany termin wyborczy zaskoczył labourzystów i wywołał oburzenie sięgające od Labour do liberałów. Premier uzasadniał wobec opinii publicznej swą decyzję niebezpieczeństwem pozostawiania kraju przez tak długi okres w przedwyborczym napięciu, wobec możliwych trudnych wydarzeń w sferze polityki zagranicznej.

Opozycja przeciwstawiała temu kilka poważnych względów przemawiających za opóźnieniem daty głosowania. Podkreślano, że w międzyczasie wróci do domu wielu żołnierzy, że należy po tak długiej przerwie w normalnym życiu politycznym dać czas obywatelom na wytworzenie sobie nowych poglądów, zwracano uwagę na wypadające właśnie w początkach lipca tradycyjne wakacje w północnych dzielnicach Anglii, wreszcie jako jeden z głównych argumentów wysuwano niedokładność rejestru wyborczego, niemożliwość do poprawienia w tak krótkim czasie, a w konsekwencji pozbawiającą głosu wielu obywateli.

Wady rejestru, nieodnawianego od lat, szczególnie dotyczyły żołnierzy i rodziny wyewakuowane z miast. Zamęt powiększały jeszcze z jednej strony letnie wyjazdy z miasta na wieś, z drugiej zaś powrót wyewakuowanych ze wsi do miasta — prawo zaś wymagało, aby głos został złożony w miejscu ostatniego dłuższego zamieszkania, gdzie też nazwisko wyborcy winno być uwiecznione do rejestru. Ewakuacja z racji bombardowania dotyczyła oczywiście miast dużych, nowa zaś ustawa właśnie w dużych ośrodkach miejskich tworzyła świeże okręgi wyborcze przez podział dawnych, co dawało jeszcze jeden czynnik zamieszania.

Mimo ostrej kampanii prasy opozycyjnej, konserwatysty nie odstąpili od daty 5 lipca. Główną ich, acz nieoficjalną racją, była chęć zwycięstwa. Liczyli oni bardziej na głosy oddane na Churchilla, niż na głosy oddawane za partią. Churchill, premier-zwycięstwa, miał się pokazać ludowi w świeżej jeszcze glorii swego tryumfu. Ponadto dołączały się takie względy, jak obawa przed trudnościami gospodarczymi na początku jesieni, przed możliwym już wówczas bezrobociem, przed niezadowolaniem z powodu powolnej budowy nowych domów.

IV

Ochodzący parlament dodał nowych 25 okręgów, z czego 19 w samym Londynie, podnosząc liczbę mandatów do 640. W chwili rozwiązania parlamentu, konserwatysty mieli 363 mandaty, popierające ich grupy — 38, (Dokończenie na str. 8-ej)

NAJBLIŻSZY NUMER 14 (56)

"W DRODZE"

będzie poświęcony rocznicy

POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

przynosząc m. in. prozę i wiersze nadesłane z Kraju oraz utwory i artykuły następujących autorów: Włodz. Bączkowskiego, Zdz. Broncia, J. Jasieńczyka, T. Sowickiego, K. Wierzyńskiego, W. Weintrauba i inn.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

CO ZROBIĆ Z NIEMCAMI?

1

Wydawało mi się zawsze, że sformułowanie pytania tak jak zostało ono postawione w tytule niniejszego artykułu, jest nieco mylące. Co zrobić z Niemcami? — Tego rodzaju ujęcie brzmiało do niedawna mocno optymistycznie. Nie wiedzieliśmy wówczas, czy Rzesza Niemiecka będzie po klęsce istotnie tak bezwonna, że sojusznicy zrobią z nią co tylko zechcą? Czy Rzesza będzie pogrążona w takim bezwładzie, że istotnie tylko wola Aliantów będzie decydować o jej losie? Czy też raczej Niemcy przyciągają się chwilowo, ażeby z nową energią powrócić do życia politycznego i gospodarczego? A może zaraz po klęsce zaczynają przejawiać tendencje niepokojące dla okupantów? Czy pójdą na sabotaż, na rozmaite organizacje oporu w rodzaju „Wilkołaków” (organizacja taka istniała jeszcze przed Hitlerem, w dobie kiedy terror niemiecki szkolił się w niewielkich grupach i stowarzyszeniach)? Zastanawiano się wtedy, jak długo potrwa paraliż Rzeszy, nawet jeżeli wpadnie w ręce sojusznice wykrawiona i rozbita. A wreszcie — co i dziś nie straciło na aktualności — czy rozbieżności polityki sojuszników wobec Niemiec nie dopomogą do dzwignięcia się hydry niemieckiej i czy na tych różnicach polityka niemiecka nie zacznie grać zaraz po swej ostatniej klęsce jak bankrut, który raz straciwszy majątek na giełdzie, stawia pożyczone pieniądze próbując szczęścia na innych papierach?

2

Piszący te słowa miał możność obserwowania Rzeszy od roku 1934 i od tego czasu nie miał sposobności oderwania się od tego pasjonującego, ale i ponurego tematu. Znajac wojskową siłę Rzeszy, był raczej skłonny przewidywać długą wojnę i nie widział jej kresu przed rokiem 1945, jakkolwiek wypowiadanie takiego sądu w r. 1940 czy 1941 narażało go na zarzuty pesymizmu czy nawet defetyzmu. Nie przypuszczał, ażeby Rzesza skapitulowała przed rozgromieniem jej sił wojennych i był skłonny stawiać na jakąś „Bitwę Nibelungów” uważając, że Hitler będzie bił się do ostatka i że gangsterzy hitlerowscy nie mogą pójść na kompromis. Uważał dalej, że dopiero pęknięcie centralnego wiązania Rzeszy — śmierć Hitlera, zakończy walkę.

Przewidywania te okazały się trafne z jednym wyjątkiem: autor tych słów przypuszczał, że na finiszu wojny dojdzie w Rzeszy do krwawej łaźni i że kohorty S.S. będą biły się w regularnej wojnie domowej z bojownikami spod znaku komunistycznego, czy po prostu bojownikami stworzonymi odruchowo przez ludność.

To przypuszczenie okazało się niesłuszne. Oczywiście nikt nie może oświadczyć z całkowitą pewnością, czy mimo wszystko po pewnym czasie Rzesza nie stanie się terenem walki domowej, ale jest to już zagadnienie w innym niejako wymiarze. Pozostaje faktem, że w chwili dogasania walk na froncie nie doszło w Niemczech do wojny domowej, ani do jakichkolwiek objawów buntu przeciw reżimowi hitlerowskiemu. Rzesza okazała się całkowicie wydrenowana z wszelkiej siły rewolucyjnej, bezwładna, wyczerpana.

Wojska niemieckie były się dobrze w stałym procesie odwrotu. Prawdopodobnie mogły one, w odosobnionych grupach, bić się jeszcze przez parę miesięcy, gdyby nie trzasknęły centralne przesłania. Reduta alpejska mogła się jeszcze trzymać, gdyby Hitler nie zginął w Berlinie w bunkrze pod siedzibą kanclerstwa Rzeszy. Ale generałowie niemieccy już od dłuższego czasu zdecydowali się na ustępowanie na zachodzie, a bronienie się na wschodzie. Trzymanie do ostatniej chwili takich stanowisk jak Praga czy Bornholm, ustępowanie zaś wobec sojuszników zachodnich jest tego jaskrawym dowodem. Nic dziwnego, że owa gra generałów niemieckich wywołała w Moskwie uczucie głuchej wściekłości. Rosja dostrzegła w tym wyraźne rozróżnienie wśród przeciwników, wyraźne usiłowanie poróżnienia Aliantów. Ze swej strony Alianci zachodni nie dali żadnego powodu do tego rodzaju akcji: nie zachęcali Niemców w niczym. Nie mieli oni w zanadru żadnego komitetu niemieckiego, krótkotrwałą zaś komedia flensburska była zdecydowanym błędem i dzisiejsiodniowne tolerowanie admirała Doenitza szybko sami Anglosasi za błąd uznali. Nie dało to bowiem niczego, naraziło dobre imię zachodnich sojuszników na szwank, wywołało ataki Moskwy, pogrzebiło podejrzenia.

3

Rzesza nie zdobyła się na bunt przeciw upadającemu reżimowi Hitlera. Nikt nie zamierzył się na kohortę S.S., społeczeństwo niemieckie pozostało bierne, fatalistycznie zapatrzone w klęskę. Poddało się losowi; bomby stratały wole oporu, wołania „wilkołaków” wpadły w próżnię i oto Rzesza, jak słusznie powiedział londyński „Observer”, — „czeka rozkazów”. Istotnie, ogół niemiecki czeka rozkazów: przykładów tego poddawania się nowym rządowi, całkowitej bierności i bezwoli dostarcza dzień każdy. Obywatel Trzeciej Rzeszy instynktownie potrzebuje nakazu i dyscypliny. Jest on automatem, który nie potrafi zrobić niczego sam i na własną odpo-

wiedzialność. Rzesza czeka na rozkazy sojuszników.

Cegoż to dowodzi? Świadczy to, iż Rzesza przeżarta została hitleryzmem i że rządy terroru zrobili swoje. Legendy, jakimi karmiła emigracja niemiecka zarówno Wielką Brytanię jak i Stany Zjednoczone, o istnieniu jakiegos poważnego ruchu oporu w Rzeszy, tajnych komórek, organizacji „nowych Niemiec” i rzekomych ruchów młodzieżowych — okazały się fałszywe. Nie natrafiono na ślad żadnej organizacji. Wszystko zostało sparaliżowane. Partie polityczne, związki zawodowe — wszystko poszło w rozsypkę. Nie wiemy jeszcze, jak przedstawia się spoistość niemieckiej partii komunistycznej (KPD) — jest jasne, że nie ujawni się ona bez wyraźnych poleceń i że na terenie okupacji sowieckiej ona pierwsza może przyjść do głosu. Ale nawet i ta organizacja wydaje się raczej sfluimiona straszliwym walcem brunatnego totalizmu.

Hitleryzm wytrzebił zatem w Rzeszy skutecznie i na długi bodaj czas samodzielne myślenie polityczne, ochotę myślenia, wolę swobodnego zrzeszania się. Było oczywiście, że paraliżuje on społeczeństwo w sposób niebawmy i zamienia je w oboz wojenny, barbaryzując równocześnie młodzież i tworząc kadry pretoriańskie S.S. Ale ta całkowita bezwola, jakiej jesteśmy świadkami dzisiaj w Rzeszy, jest jednak zastanawiająca. Można się było wprawdzie domyśleć, po upadku faszystów we Włoszech, i po chaosie życia politycznego Włoch, że sytuacja w Rzeszy będzie pod tym względem jeszcze gorsza. Tym niemniej fakt, że ten ogromny naród został tak skutecznie sparaliżowany przez własne rządy i leży dzisiaj w całkowitej prostracji, jest widowiskiem niesłychanym.

O ile armia niemiecka biał się doskonale, o tyle partia nie wykazała hartu i heroizmu. Ostatnie dni niemieckiego oporu nie stały się „zmierzchem bogów” na miarę Wagnera. Zniszczenie i niszczenie tkwiły głęboko w instynktach partii walczącej na ruinach, ale opór Hitlera i jego otoczenia przypominał raczej desperacką walkę bandytów osaczonych przez policję. To co nastąpiło potem: zaloty Himmlera, a następnie jego ucieczka — przy czym chciał on niejako przehandlować trupa Hitlera, pozay i miny Goeringa i rozproszenie się możnych w partii, to raczej „Kriminalroman” aniżeli „Goetterdaemmerung”.

4

Rzesza została całkowicie porażona w swoich centrach woli, myśli, energii. Oto jest dziedzictwo totalizmu. Faszyzm włoski był przy hitleryzmie systemem niemal łagodnym, nie szedł na sadyzm obozów koncentracyjnych — oczywiście miał swoje Wyspy Liparyjskie, ale były to niemal miejsca wypoczynkowe w porównaniu z Dachau, Belsen, Oświęcimem, Majdankiem, Buchenwaldem. A jednak i faszyzm pozostawił w spadku wyczerpanie i niemoc. Hitleryzm okazał się jeszcze bardziej kosztownym szaleństwem: zrujnował naród niemiecki jak narkotyk, zostawił go w stanie całkowitego rozpadu. Od czasów wojny trzydziestoletniej Rzesza nie przeszła tak niszczącego procesu.

Dziedzictwo totalizmu w Rzeszy jest straszliwe. Można się było tego spodziewać, a jednak kiedy dzisiaj oglądamy rozmiary spustoszenia moralnego, wdrygamy się na jego widok. Wiedzieliśmy dobrze o obozach koncentracyjnych zwanych w Niemczech od r. 1933 ponurym skrótem „KZ”, wiedzieliśmy z relacji ludzi, którzy wydostali się z tego piekła, o rozmiarach sadyzmu rozpanoszonego w tych obozach, wiedzieliśmy, że były one przygotowaniami w latach 1933-1939 do olbrzymiej akcji na całą Europę, że w toku tego sześćdziesięciu Rzesza trenowała się w zawodzie oprawy. Tak, — a jednak gdy dzisiaj oglądamy filmy z Belsen, Buchenwaldu, Dachau, wyobraźnia nasza jest porażona ohydą tego widowiska. Przeszło ono najgorsze nawet przeczucia.

Ramy tego artykułu są zbyt szczupłe ażeby sondażować tutaj powody, dla których powstały te miejsca kaźni: powody są daleko głębsze, aniżeli się to powszechnie zdaje. Od r. 1935, kiedy miałem sposobność zapoznać się

bliżej i na miejscu z hitlerowskim światopoglądem i z tzw. klasztorami partyjnymi (Ordensburgen), można już było żywić najbardziej pesymistyczne przeczucia na temat losów Europy. We wszystkich tych przejawach widać było niespotykaną w dziejach nowożytnych próbę barbaryzacji Europy, próbę wykorzenienia chrześcijaństwa, powrotu do pierwotności i niemal kanibalizmu — próbę istic przeraźliwą, dowodzącą, że same podstawy naszej cywilizacji zostały zagrożone.

Pozostawmy na boku głębsze znaczenie terroru niemieckiego, ów alarmujący temat, jakim jest zdrada ideałów europejskich przez Rzeszę, zdrada tym bardziej haniebna, że dokonana przez naród w sercu tej Europy leżącej, z krwi tej Europy żyjącej.

Pozostaje zagadnienie polityczne, zagadnienie raczej już tylko historyczne, gdyż Rzesza złamała wszelką opozycję, niwecząc tym samym normalne życie polityczne Niemiec.

5

Nie należałem nigdy do tych, co twierdzili, że cały naród niemiecki był uległy i że wszyscy byli za Hitlerem. Tego rodzaju twierdzenie, chociaż popularne i mogące liczyć na popularność, jest zbyt uproszczone. Sprzeniewierzyłbym się pamięci tych odważnych ludzi, którzy w Rzeszy byli więzieni, torturowani, gniebieni. Każdy z tych, którzy mieszkali w Trzeciej Rzeszy, znał takich ludzi. Gdyby w Niemczech nie było oporu, nie powstałaby „KZ”.

Hitler był urodzonym terrorystą, człowiekiem żywiącym pogardą dla ludzkiej odwagi, przekonany, że każdego da się złamać i kupić. Był on cynicznym pesymistą w swych sądach o naturze ludzkiej i bodajże nie miał zbyt wysokiego pojęcia o własnym narodzie. Doszedł do wniosku, że terror zlamie człowieka nawet najodważniejszego. Ludzie nie wahają się umierać, albowiem w śmierci jest coś godnego. Ale w powolnym gniciu, w powolnym, w wykazywaniu wszystkich słabości ciała, w torturze — jest już tylko straszliwa bezradność człowieka, nędza, niekontrolowane odruchy nerwów. I na tym właśnie opiera się teoria terroru Hitlera, wspierana i realizowana przez Himmlera i jego sadystów.

Istniała zatem w Rzeszy pewna opozycja, przynajmniej w pierwszej fazie rządów hitlerowskich. Hitler i Himmler stale się jej obawiali. Szukano jej w rozmaitych kątach: zamach z 20 lipca ub. r. dowodzi, że w sferach Wehrmachtu czyniono spóźnione próby usunięcia Fuehrera. Ślady oporu można jeszcze było znaleźć w ubiegłym roku w monachijskim procesie rodzeństwa Pabst, które odważnie przyznało się, że pragnęło obalenia istniejącej w Rzeszy władzy jako będącej „hańbą narodu”.

Nie sposób tych rzeczy pominąć, ale zastanawiający jest fakt, że ogół niemiecki, wiedząc w dużej mierze o bezceństwach systemu, znosił tak biernie te rzeczy „na wewnątrz” — obawiano się wypowiedzania krytyki nawet w kole bliskich przyjaciół, — że tak olbrzymie ilości ludzi poszły do najniebezpieczniejszych robót oprawców, że tysiące lekarzy dokonywało w obozach najhaniebniejszych operacji, że, jednym słowem, zdołano zmobilizować tak wielkie ilości sadystów. To właśnie prowadzi obserwatora niemieckiego życia do przekonania, — jakkolwiek chciałby on unikać wszelkich uogólnień i oskarżania narodu w czambuł — że w zbiorowisku niemieckim istnieją głęboko zakorzenione instynkty okrucieństwa i sadyzmu, że w tej wojnie Rzesza naukowo zmobilizowała te siły i że jest w naturze niemieckiej jakiś brak równowagi między możliwościami umysłu a odruchami instynktu, że w psychice niemieckiej istnieją ponure zakamarki. Tylko na tym podłożu da się wytłumaczyć rebarbaryzację Rzeszy. Trzeba żyć pod uciskiem totalizmu, ażeby zrozumieć, jak szybko może się upodlić ludzka gromada i jednostki ludzkie. To wszystko jest prawda, pozostaje jednakże faktem, że okrutna nauka hitleryzmu trafiła na grunt podatny. Wywołała żądze głęboko drzemające w społeczności niemieckiej, zaprzęga siły już w tym społeczeństwie istniejące.

6

Dla tego ogłupianego społeczeństwa propaganda Goebbelsa była pożywką prawie konieczną: nawet jeżeli jej nie wierzone, trzeba się było nią karmić, bowiem ludzie odwykli od rozumowania o własnej sile, przystosowali się zaś do huków, wrzasków, kłamstw, do spe-cyficznego sposobu podawania wiadomości. Dzisiaj wszystko to padło w gruz, usunęło się z widowni — pozostała pustka, straszliwe vacuum.

W tych właśnie warunkach pytanie: co zrobić z Rzeszą — staje się w pełni aktualne. Gdyby bowiem Rzesza miała w sobie energię i soki żywotne, gdyby miała zdolność myślenia i manewru, trzeba by spytać: co Rzesza chce zrobić ze sobą? Nawet przy największej przewadze siły sojuszniczej i przy woli utrzymania surowej okupacji, trzeba by brać pod uwagę energię niemiecką. Dopiero na przecięciu się tych dwóch kierunkowych: woli sojuszniczej i niemieckich zamiarów, należało by szukać rozwiązania problemu Niemiec. Na tym przecięciu odbywałaby się uparta walka, walka z początku podziemna, a potem może nawet jawna.

Ale takiej woli po stronie Rzeszy na razie nie widzimy. Jest tylko chęć poddania się, prostracja, upodlające widowisko faszysmu, zabieganie o względy okupanta, uśmiechy dla komendantów obozów — cała materialistyczna nauka Hitlera zbiera teraz swoje owoce: naród niemiecki nie zachował w klęsce godności i wyraźnie doznaje uczucia ulgi, że się to wszystko skończyło. Dba tylko o prowiant i codzienne potrzeby. Nie widać także objawów skruchy czy męskiego potępienia zbrodni, szaleństw, pomyłek. Odruchy moralne przestały działać w tej zbiorowości zmateralizowanej i pozbawionej lepszych pobudek. Skoro tak jest, Alianci mają wszelkie szanse, przynajmniej w danym momencie, zrobienia z Rzeszą tego co się im podoba.

7

Temat Rzeszy będzie zajmował Europę przez wiele lat, a zatem próba syntezy byłaby przedwczesna. Życie idzie swoim torem i przeskoczyło ono pod niejednym względem te plany i postulaty, jakie w sprawie niemieckiej stawiano w roku 1943 czy nawet jeszcze w r. ub.

Straty Niemiec w tej wojnie były straszliwe. Neutralni obserwatorzy oceniają straty w ludziach na 9 milionów, czyli ponad 10% ludności Rzeszy. Jest to ubytek równający się już kalectwu zbiorowości niemieckiej. Innymi słowy Rzesza jest dzisiaj osłabiona tak jak nie była po pierwszej wojnie światowej. Jeżeli doliczymy do tego około 8 milionów jeńców, z których chyba połowa, a może i więcej, pozostanie przez lata poza granicami Rzeszy odbudowując spustoszenia w Rosji i Europie, to otrzymamy bilans istic dla Rzeszy żałosny, w którym trzeba ponadto uwzględnić rozbicie systemu komunikacyjnego, wyczerpanie zapasów żywności i zbliżające się widmo głodu.

Tak więc liczne czynniki wskazują, iż Niemcy staną się narodem trwale okaleczonym, narodem, który skurczy się w sposób zastraszający dla niemieckich snów o potęgę. Przypomnijmy, że cała niemiecka rewolucja ludnościowa przeprowadzana przez narodowy socjalizm w r. 1935 była zabiegiem wielce podejrzanym. Przez zakaz spędzenia płodu uzyskano nadwyżkę jednego miliona urodzin w porównaniu z r. 1934. Ta właśnie liczba równa się przybliżonej cyfrze operacji spękania płodu dokonywanych corocznie w Rzeszy. Jednakże już od r. 1936 owa nadwyżka zaczęła się poważnie zmniejszać. Wszelkie próby podtrzymania przyrostu liczby urodzin w postaci udzielania zasiłków i pożyczek dla małżeństw, nagród dla matek itd., nie dawały spodziewanego wyniku; wynik był może nieco lepszy od rezultatów jakie osiągały Włochy, ale mimo to nie dociągnął do wyznaczonych normy.

Rzesza, jako kraj o wysokiej cywilizacji materialnej, była wszechstronnie dotknięta procesem zaznaczącym się w całej Europie, a szczególnie w Europie zachodniej: procesem stabilizacji ludnościowej. Hitler wiedział o tym doskonale, podobnie jak byli tego świadomi jego demografowie i głosiciele zasady Lebensraumu. Oni to wymyślili zasilanie krwi niemieckiej przez Volksdeutschw, oni to starali się wszelkimi sposobami uzyskać dopływ krwi. Nieślubne dzieci fabrykowane przez armię niemiecką, porywanie i wywożenie dzieci nordyckich do Rzeszy, wspomniane już zabiegi z Volksdeutschwami — wszystko to miało na celu dojdzie do 200 milionów „Niemców”, co obiecywał Himmler, komisarz Rzeszy dla scalenia niemieczyny, — a cud ten miał się stać około r. 1960.

Hitler wiedział, że naród niemiecki cofa się biologicznie. Hitler bał się rozrodczości Wschodu. Bał się rozrodczości mas słowiańskich. W rozmowie z ambasadorem Wielkiej Brytanii Sir Neville Hendersonem, powiedział w lecie 1939, że „woli prowadzić wojnę kiedy ma lat 50, aniżeli wtedy, kiedy będzie mieć lat 60”. Wydaje się, iż Hitler zdawał sobie sprawę z tego, że za lat dziesięć naród niemiecki nie będzie już zdolny do wykrawiania się. Te słowa Hitlera wyraziły jego podświadomą obawę o losy biologiczne narodu, którego zasoby Hitler mimo wszystko — przecenił. (Dokończenie na str. 8-jej)

STANISŁAW BALIŃSKI

SMUTEK ZWYCIĘSTWA

Na szczycie wszystkich zwycięstw, wśród fanfar i ogni
Co obwieszczaają światu nieśmiertelność męstwa,
Wyrasta tajemniczo, ponad blask pochodni,
Czarny, płaczący laur. To — smutek zwycięstwa.

Próżno go unicestwić chce wzrok tryumfalny,
I próżno ręce ludzkie chcą wyrwać z korzeniami,
Nie można go usunąć. Bo — niematerialny.
Bo — wschodzący nie ciałem i nie krwią, lecz cieniem.

Olbrzymieje nocami, jak widmo koszarne,
Nad światłem rozdzielonym na dwoje wieczyście,
I strąca swoje smutne, laurowe liście
Dla zwyciężonych — krwawe, dla zwycięzców — czarne.

TYMON TERLECKI

DRAMAT GUGLIELMA FERRERO

T. i J. — przyjaciółom, z którymi razem czytałem książkę Ferrera.

Wiaściwie zdałem sobie sprawę z tego dramatu, dojrzałem jego sprzęgi po przeczytaniu ostatniej książki Ferrera. Nosi ona dość tajemniczy tytuł: „Pouvoir. Les génies invisibles de la cité”^(*) (formalnie stanowi zamknięcie trylogii zaczętej dwoma tomami: „Aventure. Bonaparte en Italie 1796—1797” i „Reconstruction. Talleyrand a Vienne 1814-1815”, ale jest całością samowystarczającą, pod wielu względami odrębną). Powstała w Genewie, gdzie Ferrero przebywał na wygnaniu, i ukazała się w Stanach Zjednoczonych, w Nowym Jorku. Data pod przedmową — styczeń 1942 — tylko o miesiąc poprzedza śmierć (4 sierpnia 1942) pisarza, historyka, myśliciela o szlachetnym profilu, niezachwianej konsekwencji postępowania, nieprzeniknionej czystości przekonań.

Bardzo szczególnym zjawiskiem jest ta książka, zamykająca — żeby użyć słów dydaktyki — „burzliwy byt”, stanowiąca pełen trudnego spokoju wydział, „ostatniej i najstraszniejszej burzy życia”. Jest ona usilnie, dojrzała bezstronna i jednocześnie na wskroś osobista, jak autobiografia; sumuje wiedzę, więcej jeszcze: mądrość z wiedzy, zdobywaną przez kilkadziesiąt lat, i jednocześnie odsłania niepokój, zawody, krąg urazów i udręk, w którym żył i który usiłował przełamać człowiek nam współczesny; zespala w jedno — studium naukowe, metodycznie ścisłe i niezmiernie bogate, z doświadczeniem życia; przetrzuca ciągle most między historią osobistą a historią zbiorową, między aktualnością ostatniej przedśmiertnej godziny a żywą, fatalną, tragiczną wczorajszością.

To wszystko sprawia, że lektura ostatniej książki wielkiego Włocha jest przeżyciem niebanalnym, można by powiedzieć przeżyciem wstrząsającym, ale w tym określeniu byłoby już może nadmiar patosu. Bo książka Ferrera, w której jest tyle z laickiej spowiedzi — kończy się akcentem gorzkiej, trudnej ale jasnej determinacji, stanowi wyraz precyzyjnego, choć pełnego głębokiej pokory rozeznania siebie i swojej epoki. Przynosi ona czytelnikowi to samo poruszenie duchowe, to samo rozświetlenie jaźni, jakie sprawia dramat, w którym odnaleźliśmy siebie, nasz związek, nasz konflikt ze światem, naszą możliwość pojednania z nim i zgody.

Właśnie linię wstępującą tego dramatu chciałbym tu wykreślić. Chodzi przede wszystkim o dramat wewnętrzny, o dramat sumienia politycznego, nie o historię faktów zewnętrznych. Dlatego wystarczy kilka najogólniejszych informacji życiorysowych.

Ferrero był z wykształcenia prawnikiem, z zawodu historykiem uniwersyteckim, ze skłonności przyrodzonej czymś, co by można określić nazwą: praktyczny filozof, ideolog i moralista polityki. Wyszedł z klas średnich (ur. w Portici 1871), miał urobienie liberalne, bez skrajnych skłonności republikańskich. Między okresem studiów i podróży po Europie a karierą naukową — ugruntowaną sławą, wielotomowym dziełem „Grandezza e decadenza di Roma” (1901-1910) — był publicystą, brał udział w mediolańskim organie partii radykalnej „Secolo”, piśmie o największym nakładzie na terenie Włoch tego czasu.

Był to okres ich historii, trochę przypominający chwilę obecną. Kłesła pod Adą zakonczyła pierwsze usiłowanie zdobycia Abisynii. Rządy niby-konstytucyjne, niby-parlamentarne, najpierw Dupretisa, potem Crispiego (z pierwszym krótkim interludium Giolittiego), oparte na fikcji parlamentu z ograniczonych wyborów, na koncepcji „transformizmu”, tzn. mechanicznego zacierania przeciwieństw politycznych, nie umiały rozwiązać nagłąjących zagadnień, nie zdążyły pozyskać uznania mas włoskich. Sam Ferrero za pamphlet „Il fenomeno Crispi e la crisi italiana” został skazany na dwa miesiące więzienia. Kulminację ostatnich lat odchodzącego stulecia stanowiły rządy „silnej ręki” gen. Pelloux, która uderzyła także w „Secolo”, i śmierć drugiego króla zjednoczonych Włoch Humberta w zamachu dokonany przez anarchistę.

Kilkanaście lat nowego stulecia wypełnia w politycznej historii Włoch — Giolitti, włoski Guizot, dyktator „a la bonhomme”, premier „à perpétuité”, Machiavelli w wydaniu liberalnym, deprawator ludzi i partii, wirtuoz wygrywający wszystkie możliwości stanowiska między słabym, sprzedajnym parlamentem a królem, który nie wyżył się jeszcze ambicji bezpośredniego rządzenia. Ferrero jest w tym czasie poza życiem publicznym. W latach 1909-1913 pisze dwie książki: „Du monde grecolatine au monde nouveau” (1912) i „Fra i due mondi” (1913) — stanowią one gwałtowne potępienie cywilizacji ilościowej, kapitalistycznej i przemysłowej, w przeciwieństwie do cywilizacji jakościowej. W r. 1914 jest zwolennikiem interwencjonizmu, tzn. udziału Włoch w wojnie po stronie koalicji (zbiór artykułów: „La guerra europea”). „Wierząc — opowiada sam — że z najazdem na Belgię zaczęła się epoka większej sprawiedliwości i większej wol-

ności, byłem przeświadczony, iż zwycięstwo Anglii i Francji odrodzi Europę”.

Gdy po rozruchach anarchistycznych w r. 1922, stary magik Giolitti nie był już w mocy zakląć starymi formułami nowej rzeczywistości, król powołał do rządów Mussoliniego. Dla Ferrera było to drugie zderzenie z mechanizmem życia politycznego, jeszcze boleśniejsze, niż tamto przeżyte w młodości. To zderzenie weszło między „czystą” pracę naukową (zamykał wtedy dzieło o Rzymie książką „La rovina della civiltà antica”) a praktyczną filozofię polityki, konstruktywną ideologię i empiryczną moralistykę. Ferrero zdeklarował się jako przeciwnik porządku faszystowskiego, zastrzygł sobie na osobiste pogroźki wszechmocnego Duce i gdy widmo przesładowania zawisło także nad najstarszym, renominalnie uzdolnionym synem, w r. 1930 opuścił kraj, by do niego nigdy nie wrócić, by nie doznać się upadku régime'u.

Jeśli się zna twórczość Ferrera, jeśli się zna zwłaszcza jego ostatnią książkę, wolno myśleć, że był pewny tego faktu. Powiedzieć: „absolutnie pewny” było by zbyt wiele, bo Ferrero zdawał sobie sprawę, że procesami politycznymi nie rządzi prawa przyrodnicze, ale miał wyższe niż ktokolwiek inny uprawnienie przypuszczać, spodziewać się i wierzyć, że tak będzie. Bo nikt w tym stopniu, co on, nie osiągnął rozumienia dziejów Europy od Rewolucji Francuskiej do naszych dni jako całości, jako jednego, organicznego, mimo całej pozornej różnorodności, jednolitego i konsekwentnego procesu.

Takie są zewnętrzne ramy dramatu. Możemy teraz dotknąć jego istoty. Myślę, że dałaby się ona sprowadzić do kilku aktów świadomości.

Pierwszy z nich, to rozeznanie, iż ustroje są jak gdyby historyczną fatalnością. Nie ma ustrojów lepszych i gorszych — są tylko te, które stanowią konieczność czasu, które narzuca ogólna orientacja duchowa epoki. Ustroju nie można wybrać, można go tylko uszlachetnić lub zbarbarzować. Taka sama alternatywa stoi przed „przyrodzonym”, nieuniknionym ustrojem nowoczesności — demokracją. To jest krąg doświadczeń filozofa kultury; buntuje się on przeciw nowemu typowi cywilizacji, która ideał jakości zastępuje ideałem ilości, ale ugina się przed tą cywilizacją jak przed nieuchronnym przymusem.

Drugi akt świadomości, leżącej u dna dramatu Ferrera, stanowi stwierdzenie braku przystawania między teoretyczną, idealną koncepcją i życiową praktyką ustroju demokratycznego. To jest krąg wcześniejszych, wrzliwych przeżyć studenta Turynu i Bolonii, entuzjasty prawa konstytucyjnego, autora książki „Europa Giovane. Studi e viaggi nei paesi del Nord” (1897) i współpracownika „Secolo”.

I wreszcie trzeci akt świadomości stanowi odkrycie, że zasady demokracji nie mają charakteru absolutnego, religijnego, „transcendentnego”. To jest krąg przeświadczeń historyka ustrojów, historyka Rzymu i późniejszego historyka nowoczesnej Europy. Badacz przeszłości o doświadczeniu publicysty, o zdolności obserwowania otaczającego, stojącego się życia, musiał stwierdzić, że kontynent europejski jest od stu kilkudziesięciu lat widownią, na której luzują się w sposób oporny, powolny dwie formy ustroju życia gromadnego — monarchiczna i demokratyczna. Musiał poddać tej samej ścisłej elektrolizie zasady obu ustrojów. Jej wynik mógł być tylko jeden. Jeśli ustroj monarchiczny przestał odpowiadać ogólnej orientacji duchowej, zasadniczym ideałom i dążeniom ludzkości — u jego podstaw nie leżała żadna konieczność metafizyczna. Żadna konieczność tego rodzaju nie leży też u podstaw ustroju demokratycznego. Bo gdyby leżała, nie było by tragicznej rozbieżności między zamysłem idealnym a rzeczywistym w materiale życia. Albo też rozdzielił ten byty... bardziej wytłumaczalny, łatwiej zrozumiały.

Ale zatrzymać się w tym punkcie znaczyło by ugrząsnąć w nihilistycznej bierności. Buntuje się przeciw niej instynkt moralny Ferrera. Nie byłoby to też konsekwentne ze

stanowiska doświadczenia historycznego, a Ferrero ma je w stopniu olbrzymim.

Zasady, na których opierała się monarchia (zasada dziedziczności, zasada nieomyślności władzy), były wyzwaniem zdrowego rozsądku, musiały nieodparcie prowadzić do tragicznych pomyłek. A przecież monarchia zdążyła się na wieki narzucić jako konieczność, jako jedyna, jedynie dobra możliwość ustroju życia. Przez wieki pozostawała w zgodzie z ogólną dążnością duchową kontynentu europejskiego. Przez wieki stanowiła podstawy, ramy, uprawnienie pewnego typu kultury i w odrębnej tej kultury dokonała dzieł wielkich i nieprzemijających.

Jeśli tak jest, co działało na korzyść tamtego ustroju, co działało na niekorzyść ustroju nowego, który wchodził w jego miejsce? Bo przecież nie metafizyczna konieczność. Nie objawiała się ona przez dziedziczność króla, zawdzięczającego tron biologicznej loterii, temu, że przypadkiem urodził się królem, a nie błążnym królewskim, czy kuchcikiem w kuchni pałacowej. Tak samo nie objawiała się ona przez głosowanie powszechne, czy przez wielkość parlamentarną. Musi to być coś innego.

I tu dochodzi Ferrero do zasadniczego odkrycia, do stwierdzenia sił rządzących formami życia społecznego, dających im pełne uprawnienie, stanowiących o ich sile i słabości lub mocy przetrwania. Właśnie te siły, to są owe tajemnicze — „génies invisibles de la cité” z tytułu jego ostatniej książki.

Nie warto w tym kontekście zastanawiać się nad sprawą gatunku rzeczywistości i stopnia rzeczywistości owych „geniów” — geniuszów rzymskiej mitologii. Są stronicie, na których Ferrero mówi niemal z lirycznym wzruszeniem o współżyciu z nimi, są stronicie i rozdziały, całe partie książki, na których ich nie ma, na których panuje ściśle rozumowa, abstrakcyjna terminologia. Można tę całą koncepcję uznać za przenośnię poetycką, za „wizję roboczą” czy „termin roboczy”, po prostu za obraz czy określenie, które pozwalają dobitniej, jakby naocznie, pokazać i bardziej plastycznie nazwać rzeczy trudne do uchwycenia. Ważne jest zresztą tylko to, co owe „niewidzialne geniusze” znaczą, jaką rolę odgrywają w dramacie, który śledzimy.

Ferrero sam to ułatwia posługując się często określeniem „principes de la légitimité” — zasady praworządności. Oznacza ono sens rozumowy tkwiący w każdym układzie stosunków zbiorowych, w każdym tytule władzy do jej sprawowania, i w każdym obowiązku podlegających władzy do podlegania jej. Sens rozumowy nie jest nigdy, w żadnym ustroju dostateczny, usprawiedliwienie i uprawnienie władzy absolutne. Mimo że sens rozumowy nie jest pełny, usprawiedliwienie władzy i jej uprawnienie jest tylko umowne — stanowią one warunek istnienia ustroju, warunek tego, by ustroj zapewniał szczęście całej zbiorowości i każdemu jej uczestnikowi z osobna. Jednostka i zbiorowość, wykonywający władzę i podlegający jej, poddany króla w ustroju monarchicznym i wolny obywatel w ustroju demokratycznym muszą pod groźbą śmiertelnego niebezpieczeństwa — pod groźbą zemsty „niewidzialnych geniuszów” — szanować tę zasadę.

Tu jest jedno z zawikłań dramatu. Racjonalista stawia wymagania prawie religijnej pokory, człowiek odrzucający metafizyczne podstawy ustroju gromad ludzkich, społeczne współżycie ludzi — żąda bezwzględnej moralnej konsekwencji w tym współżyciu, takiej konsekwencji, jaką narzuca strach przed karą. „Jest to prawo — pisze Ferrero — o precyzji niemal astronomicznej: z chwilą gdy w skupieniu ludzkim istnieje porządek prawny ulega zniszczeniu — panika opanowuje wszystkie umysły. Dzieje się tak nawet wtedy, gdy ten zamach jest uzasadniony przez siłabości i błędy obowiązującego dotąd układu. Pierwsi popadają w strach ci, co targnęli się na istniejący porządek prawny, od nich zaczyna się panika i od nich rozprzestrzenia się wokół”.

U podstawy wszelkiej władzy leży strach — to jest twierdzenie psychologiczne, które stanowi „background”, „tło muzyczne”, tło

nastrojowe dramatu ferrerowskiego. To jest motyw, który nadaje temu dramatu koloryt uczuciowy. Sprawujący władzę doznają lęku przed tymi, którzy im podlegają, podlegający władzy doznają lęku przed nią. Rządzący i rządzeni są sprzęgnięci prądem magicznym, zakaznym, wzajemnie się udzielającym, przez wzajemne udzielanie się dochodzącym do paroksyzmu, do stanu wybuchowego.

Rozłamanie tego koła, rozerwanie tego sprzęgu następuje tylko w jednym przypadku: gdy dana władza, dany ustroj nabierze znamion praworządności. Staje się to wtedy, gdy uzyskuje powszechne uznanie, gdy z nieuchronnymi brakami, względami, które są ludzkie, arcyłudzkie i tylko ludzkie, zostaje uznany za możliwość — jedynie możliwą. Wtedy z wykonywującego władzę opada strach i strach przestaje się udzielać temu, który władzy podlega. Między władzą a obywatelem staje instynktowny układ co do poszanowania pewnych reguł współżycia, jako podświadomy, przedustawny „contrat social”. Wytwarza się równowaga niestała. Urzeczywistnia się „najwyższe dobro, które może być udziałem ludzkości jako istoty zbiorowej: władza bez strachu”.

Istnieje ona tylko dopóty, dopóki jeden z kontrahentów nie naruszy tego układu. Jest to stan praworządności, legalności. „Rząd jest praworządny, jeśli jego władza jest używana i wykonywana według zasad i reguł, przyjętych bez sporu przez tych, którzy mają jej słuchać”.

Tu zachodzi jeszcze jedno dramatyczne zawikłanie, i jedno przezwyciężenie myślowe. Legalność, praworządność nie jest ani łaską daną z góry, ani rzeczą samoczną: nie zaczyna biec, jak ważność pisanego kontraktu, ani działać mistycznie, jak pomaganie. Proces krystalizowania się legalności, niejako dystylowania jej zanieczyszczonego roztworu, jest procesem dokonywającym się powoli, wymagającym nie tylko warunków, ale i czasu. Dlatego Ferrero wprowadza pojęcie praworządności, będącej w toku tworzenia się, praworządności niepełnej. Nazywa ją „prélegitimité” albo „légitimité au berceau”.

I wreszcie ostatnia perypetia dramatyczna: od czynnika mechanicznego do idealnego. Sam czas nie wystarcza. Czas zdolny jest wywołać tylko nawyk, bierne przytwierdzenie, częczą zgodę na istniejący i przedłużający się stan rzeczy. Dopiero wkroczenie czynnika idealnego, sublimacyjnego — najczęściej wnoszonego przez elitę umysłową — stwarza tę ważną temperaturę, z której roztworu wychodzi kryształ regularny: pełna praworządność.

Historyk umie zestawić i bezstronnie zanalizować wiele czynników działających na rzecz tego procesu w ustroju monarchiczno-arystokratycznym: religię, sztukę, bogactwo, pompę widowiskową itd. Ale syn epoki współczesnej dochodzi do przekonania, że większość elementów dawnych nie działa na rzecz utrwalenia nowych form życia. Tu jest może najdotkliwszy punkt dramatu Ferrera.

Jak widzieliśmy, rozgrywa się on — trochę jak grecka tragedia — w wymiarach fatalności, tylko fatalności nie metafizycznej, ale historycznej. Nieuniknioną koniecznością tego czasu jest demokracja, ale jej urzeczywistnienie, osiągnięcie stanu wykrystalizowanej praworządności dokonało się dotąd w niewiele punktach globu, tylko w jednym czy dwu punktach kontynentu europejskiego. Wszystko, co się wokół nas dzieje, cały potworny zamęt ogarniający ziemię, jest wynikiem niemożności przyjęcia tego historycznego nakazu. Stąd pochodzi straszliwa „bezsenność świata”. Stąd zagrożenie kultury.

Ferrero widzi rozwiązanie tego kryzysu tylko w jednym: w stworzeniu laickiej religii, powołaniu nowej moralności zbiorowej, w czymś co nazywa „dressage spirituel”. Cnotą kardynalną ideału tego wychowania, imperatywem kategorycznym moralności, dogmatem świeckiej religii musi być lojalność — lojalność każdej jednostki wobec innych i wobec siebie samych.

Wyszedłszy z krańca przeciwnego metafizyce, Ferrero dochodzi jakby do innej strony — do metafizyki. Rozumie, iż przyjęcie założeń umownych, niedoskonałych i kruchych, jako zasad wyższych i nietykalnych, nie może dokonać się bez religijnej pokory wobec rzeczywistości. Tym odczuciem, dochodzącym do głosu na ostatnich kartkach książki, tłumaczy się słowa podziwu dla chrześcijaństwa i słowa nadziei pokładanej w kościele katolickim. W tym punkcie spotyka się Ferrero, świętny przedstawiciel kultury europejskiej, z Irvingiem Babbitem, twórcą „humanizmu amerykańskiego”, który w książce „Democracy and Leadership” (1924) dał wyraz przekonaniu, iż katolicyzm może uchronić naszą cywilizację od zagłady.

Ten dramat człowieka wiedzącego, który nie przestał czuć, dramat racjonalisty, który drogą myślową doszedł do uznania metafizyczności, uczonego-pluralisty, który nie utknął w wiedzy przymusów, wiedzy fatum historycznego, radykała, który zaprzeczył rewolucji — jest rzutowany na tło historii europejskiej ostatnich stu pięćdziesięciu lat. Ferrero porusza się w jej zbitym gąszczu ze swobodą zadziwiającą, większą, niż niejeden (Dokończenie na str. 7-ej)

BEATA OBERTYŃSKA

WOJNA*

Mam ja — wojna — swoje dzikie zabawy!
Mam ja — wojna — swoje dzikie radości!

Zakasałam wysoko rękawy,
w maj się wparłam — zebrałam do skoku,
kołtun z czoła odgrabiłam cisawę
i runęłam na klasztor — jak burza!
Rozorałam pazurami szczyt wierzchołka,
rozgarnęłam gruz miłki po stożku,
las do białej wyłamałam kości,
korę żywcem pozdzierałam z pni...

Mam ja — wojna — swoje wielkie dni!

Rylałam zbroczę, aż tryskała skala,
aż się darni związały ochłapy,
aż kamienie porywało w słup...
W szpary bunkrów, przez kolce oprzędów,
aż po pachę zagłębiłam łapy...
— Wiem, że ciepłe miewa włosy trup.
...Wiem, że lepka bywa świeża krew,
nim ją rdzawo wiew po chwastach roznieście...

Mam ja — wojna — chwile swoich obłądów!
Mam ja — wojna — chwile swoich uniesień!

A gdy mrok już wzgórz obsiadł kabłąki,
i chłód żłobom w oschłe sacczył się gardła —
precz — w dolinie rośtej — o łąki —
jam z krwi ręce w mokre trawy wytarła...

18. V. 1945

*) Guglielmo Ferrero. Pouvoir. Les génies invisibles de la cité. Nowy Jork, Brentano's 1942; str. 345 i 7 nl.

*) Wiersz napisany na rocznicę bitwy o Monte Cassino.

DZIEŁE Judyty biblijnej nie są zbyt wiernie w Starym Testamencie opowiedziane. Niejedno przeczy tam samo sobie, albo nie godzi się ze świadectwem dokumentów. Jak wiadomo samą autentyczność Księgi Judyty nieraz podawano w wątplenie.

Na przykład już fakt uciecia mieczem głowy Holofernesowej musi budzić nieufność. Po cóż mądra i przelotna kobieta, jak Judyta, wybierałaby ten gwałtowny i trudny do ukrycia sposób? Żalid jaknajciszej i już — musiało być jej celem.

Historia Judyty nie może się więc obyć bez krytycznego przejrzenia i pewnych sprostowań.

Zanim jednak zajmniemy się postacią samej Judyty, przyda się parę słów objaśnienia o czasach, w których żyła i miejscu, jakie zamieszkiwała. Niestety i w tym informacji Księgi nie są zadowalające.

Działo się to zapewne, o ile z wskazówek Pisma ocenić można, w późniejszych latach panowania króla Jozasza. Drugie królestwo żydowskie, Izrael, gdzie znajdowała się właśnie Betulia, zostało ojczyście Judyty, nie miało już wówczas własnego pana: padło przed stoma laty, zniszczone przez Assyrian i własną słabość, a wiosi je obsiadali coraz gęściej nasyłający assyryjscy. Były to czasy znacznego upadku obyczajów w obu żydowskich ziemiach i panowania wielu bóstw w miejsce, albo — co może gorzej — obok jednego Boga. Czeszo więc równocześnie fenickiego Baala i Astarte, assyryjskiego Beła i Isztar, sepharwainskiego Ananiasza i Adramielecha. W Jeruzolimie królował wprawdzie, jak się rzekło, pobożny Jozasz, który bogi obce u siebie rozbił i wypędził, a nawet w zwycięskim pochodzie oczyścił z nich ziemię Izrael — ale stało się to nie dawniej, jak na rok przed czynem Judyty, zaś dusze i obyczaje ludzkie nie tak łatwo jest odmienić, jak rozbić posagi i wyciągać gąsienice.

Szczepiłowia jednak aniżeli w zgładzonej przez Pana Sodomie, zachowało się — pōśród ogólnego skłębienia parę miast izraelskich. Woda re nadat cześć jedyną, na którą wierzono, czystość obyczajów. Wśród tych miast słyęła Betulia, jako pierwsza w prawości i pobożności.

Zapewne nie tylko takiemu środowisku lecz trochę i czasom należy przypisać, że zjawiała się pōśród niej niewiasta tej cnotliwosci co Judyta. Cnota wyrasta bowiem na cnotliwym gruncie, ale wystrzela jeszcze wyżej, jeżeli może się chlubnie przeciwstawić szerzącej się gźdźdź opanołał nieobyczajności.

Nie podobna ustalić z całą dokładnością miejsca, gdzie wznosiło się starożytne miasto Betulia. Wiadomo tylko, że należy go szukać w okolicy gór Gilboa. Dział szerokiego okolicznych przypisuje sobie, że to na ich grun-tach znajdowało się miasto ojczyście Judyty — tak jak nigdy siedem miast greckich spierało się o miejsce urodzenia Homera. W każdym razie Betulia stała dosyć wysoko nad doliną, na północnym stoku wzgōrza. Ku północy musiało się widzieć z murów miasta wystający ponad równię, wież kościoła, który — jak się jednak przypatrzeć, że Judyta lubiła słu-chać w cieple, letnie wieczory gorących namawiań i patrzeć na gwałtowne wybuchy męskiegō pragnienia. Lubiła nawet pomyśleć, że otworzyłaby temu lub owemu z zalotników swe ramiona. Ale te niewinne oznaki słabości Judyty umiała dobrze w sobie ukryć i choć oblegana przez tak wielu — nie oddawała się żadnemu.

Dodać potrzeba, że staranie się o łaskę Judyty nie tylko — jak z powyższego wynika — nie podobna ustalić z całą dokładnością do zadań łatwych. Wielbiciele swoich zdąre-czała najdziwniejszymi wymaganiami, nigdy nie można było przewidzieć jak się będzie przyjeżdżać, ani dogodzić jej zachciankom. To też po pewnym czasie nawet najwytrwalsi mieli dosyć. Lata płynęły i zalotników zjawiało się coraz mniej.

Za jedno dobro trzeba w życiu zazwyczaj innym płać. Judyta dążyła do sławy — osiągnęła większą niż jakakolwiek z jej rówieśnic. Przyszło jej za to oddać zwykłą radość nie-wiasty, czystość nieusłusznego bycia — zapłała? Niestety, nie zawsze stracone wydaje się po-tem mniej cenne.

Księga napomyka często o wielkiej bogo-bojności Judyty, w której ta zająca niewiasta mogła znaleźć ucieczkę przed niepokojami, jak-im, przy surowości swych obyczajów, była za-pewne wydana. Ale nie należy zbytino wierzyć tym pochwałom, prawdopodobnie przydanym dopiero przez potomnych. Na zupełnie pogrze-żenie się w nabożności była Judyta zbyt trzeź-wa, byby świeckimi sprawami zająca; zresztą nie pociągala jej surowa nad miarę nabożność — ochłajęca raczej życie niewiasty prostaczki.

Nie znaczy to, że wolała być, by Judyta miała się zaniedbywać w pełnieniu obowiązków, naka-zanych przez Zakon, a nawet by w swoim wne-trzu rzadziej czy mniej szczerze wznosiła myś-li w modlitwie, aniżeli to przystoi niewieście szlachetnej i wychowanej w prawowierności. Ale nie była to owa gorącość duszy, która potrafi skutecznie przeciwstawić się smutko-ści ogłodzonego ciała i wyprowadzić zupełnie ducha z tej niezaszczytnej kolei, na której po-stanowił już nie zostawać.

Pozbawiona parcia o taką głęboką bogo-bojność, próbowała Judyta znaleźć zapomnie-nie smutków w ćwiczeniu swojej mądrości, w zdobywaniu wiedzy o ludziach, krajach dale-kich i gwałdach. Ale i tej rozrywki nie na-długo sławnej kobiecie i nie do sta starczyła. Zresztą bardziej jakoś cieszyło zawsze Judyte okazywanie swej mądrości ludziom, aniżeli samo jej nabywanie.

Upodobaniem tym wiedzona, uczyniła Ju-dyta z domu swego coś w rodzaju „salonu” owych czasów. Nawiedzał w nim Judyte o znamienitis przejeźdźni, rozprawiając z mądrą

być czystą na zawsze, rozkochala się w sławie czystości, że zas tak złe, jak i dobre nie cho-dzi samo, więc kiedy roznośła się sława czy-ściego wdowienstwa Judyty, ludzie poczęli zna-wac także jej wieść, jak na kobietę, mądrość — a równocześnie zaczynali dobytek po Ma-nassym, kierowany rozumną i świadomą in-teresów głową, rozrosł się w rękach Judyty i wkrótce dom jej był jednym z najmajętniej-szych w mieście.

Każda sprawa na świecie posiada jednak swoje blaski i cienie. Judyta była czernstoa-letnią dziewczyną, gdy ją za mąż wydano, a nie miała pęcnia lat osiemnastu, gdy odo-wiała. Czas największej gorącości ciała, czas zupełnego dojrzenia i powolnego przejrzenia-wa przyszedł na nią dopiero później — i przy-szedł za późno. Czystość niosła wtedy Judyty do jej już sławie wielką, której nie oddałaaby za nic, zaś pakątna i utajona rozpusta, godząca sławę czystości z ciekawym wykreśleniem, była w masywnej miedzi izraelskim niemowlęciem.

Pozostawało więc Judycie nie słyszeć cie-sznego wołania, uznać, że jest ponad nie wy-ższa, że w ogóle mało jej na sprawach ciała zależy. I nie przyszło jej to nawet z wielkim trudem. Głos tłumy przenika głęboko; zrazu słyszy się go od zewnątrz, a potem już i w so-bie. Judyta poczęła istotnie uważać, że nie ma cnotliwysci niewiasty w całym Izraelu i pysz-nie się ta cnotliwoscią już nie tylko przed ludźmi, ale i przed samą sobą. I kto by spojr-zał od zewnątrz na Judytę, a nawet rzucił po-bieżnie okiem do jej wnętrza, osądziłby, że mądrę i niewieście naprawdę wystarcza jej mądrość i sława.

Może jednak zawałaby się w swym mniema-niu, gdyby ujrzał Judytę przechadzającą się nieraz w letnie wieczory obok gaju Astar-ty, której nieczyste ołtarze od czasów fenic-kiej królowej Jezabel, rozkrzewiły się po izra-elskiej ziemi. Z gaju dolatywały piski, szepty i westchnienia, a Judyta to zwalniała, to zno-wa przypieszała kroku, albo zawróciwszy z mi-ęsca, spieszyla do domu. Wracano rozważana, nie tylko tak gwałtownie, że raz po raz potrafiła własnoręcznie osmaęać rōżgami niewolnicę, która jej na drodze stanęła. A gdy wreszcie król Jozasz wkroczył do kraju i huk siekier oznajmił miastu, że wycinają gaj bogini-rozpustnicy, Judyta wybiegła z domu i patrzyła dopóty, dopóki nie padło ostatnie drzewo — radosna, jak gdyby burzono przybylek jej naj-gorszego wroga.

Kto wnikał w sens opowiedzianego po-wyżej zdarzenia i domyślił się, że mądrę Ju-dytę opętanie miłości z życia nie posaża — tak jednak, jakby się swiata nawet jej samej mogło zdawać, pojnie również, dlaczego Ju-dyta, tak przywiązana do swego wdowienstwa, dawała się bez przykrości kusić do porzucenia tego stanu. Mając wokół siebie, jak druga Penelopa, pełno zalotników, przyciągniętych przez jej majątek lub piękność, Judyta nie od-rzucała ich nigdy z miejsca i rada widywała w swoim domu. Pewnie, że im natarczywsze stawały się zalotników starania, tym zaszczyt-niej było się im oprzeć, tym większa spływała na wytrwał czystość Judyty chwala. Nie da-ła się jednak zaprzeczyc, że Judyta lubiła słu-chać w cieple, letnie wieczory gorących na-mawiań i patrzeć na gwałtowne wybuchy męskiegō pragnienia. Lubiła nawet pomyśleć, że otworzyłaby temu lub owemu z zalotników swe ramiona. Ale te niewinne oznaki słabości Judyty umiała dobrze w sobie ukryć i choć oblegana przez tak wielu — nie oddawała się żadnemu.

Dodać potrzeba, że staranie się o łaskę Judyty nie tylko — jak z powyższego wynika — nie podobna ustalić z całą dokładnością do zadań łatwych. Wielbiciele swoich zdąre-czała najdziwniejszymi wymaganiami, nigdy nie można było przewidzieć jak się będzie przyjeżdżać, ani dogodzić jej zachciankom. To też po pewnym czasie nawet najwytrwalsi mieli dosyć. Lata płynęły i zalotników zjawiało się coraz mniej.

Za jedno dobro trzeba w życiu zazwyczaj innym płać. Judyta dążyła do sławy — osiągnęła większą niż jakakolwiek z jej rówieśnic. Przyszło jej za to oddać zwykłą radość nie-wiasty, czystość nieusłusznego bycia — zapłała? Niestety, nie zawsze stracone wydaje się po-tem mniej cenne.

Księga napomyka często o wielkiej bogo-bojności Judyty, w której ta zająca niewiasta mogła znaleźć ucieczkę przed niepokojami, jak-im, przy surowości swych obyczajów, była za-pewne wydana. Ale nie należy zbytino wierzyć tym pochwałom, prawdopodobnie przydanym dopiero przez potomnych. Na zupełnie pogrze-żenie się w nabożności była Judyta zbyt trzeź-wa, byby świeckimi sprawami zająca; zresztą nie pociągala jej surowa nad miarę nabożność — ochłajęca raczej życie niewiasty prostaczki.

Nie znaczy to, że wolała być, by Judyta miała się zaniedbywać w pełnieniu obowiązków, naka-zanych przez Zakon, a nawet by w swoim wne-trzu rzadziej czy mniej szczerze wznosiła myś-li w modlitwie, aniżeli to przystoi niewieście szlachetnej i wychowanej w prawowierności. Ale nie była to owa gorącość duszy, która potrafi skutecznie przeciwstawić się smutko-ści ogłodzonego ciała i wyprowadzić zupełnie ducha z tej niezaszczytnej kolei, na której po-stanowił już nie zostawać.

Pozbawiona parcia o taką głęboką bogo-bojność, próbowała Judyta znaleźć zapomnie-nie smutków w ćwiczeniu swojej mądrości, w zdobywaniu wiedzy o ludziach, krajach dale-kich i gwałdach. Ale i tej rozrywki nie na-długo sławnej kobiecie i nie do sta starczyła. Zresztą bardziej jakoś cieszyło zawsze Judyte okazywanie swej mądrości ludziom, aniżeli samo jej nabywanie.

Upodobaniem tym wiedzona, uczyniła Ju-dyta z domu swego coś w rodzaju „salonu” owych czasów. Nawiedzał w nim Judyte o znamienitis przejeźdźni, rozprawiając z mądrą

WITOLD TURNO

niewiastą o swoich podróżach, o tłumaczeniu snów, o sprawach kupieckich, o sztuce rachun-ku, o podziwianiu jednak, jako się rzekło, coraz rzadziej zaglądali do nieobyczajnego nie ich miodym pragnieniom „salonu”, który zalud-niał się prawie wyłącznie siwobrodymi starca-mi. I Judyta, sławna, podziwana, czczona, za-znawała coraz częściej uczucia, że życie jest jednak bardzo nudne.

Koleje życia ryla zawsze swój ślad w duszy, więc kważniała z przyrostem lat i Judyta, tym bardziej, że usposobienie jej, jak się to nieraz sławnym wiadomostom zdarza, już z natury nie musiało być nadto szczęśliwe. Zdanie ludzi wspieranych o Judytę — nie to, które do-stało się do Pisma i utrwaliło w historii, — ale codzienne, sąsiedzkie, brzmiało: trudna kobieta. Toteż zachodziło do Judyty ludzi z dalekich stron, wabięni jej sławą, ale bliżej nieskwapliwie szukali jej towarzystwa. Przy-jacielek Judyty nie miała — może przez zwyk-łą bańską do niej zawiść. Prości mężczyźni owych czasów, przyzwyczajeni widzieć w nie-wieście robotnicę, lub co najwyżej nałożnicę, mało interesowali się zagadkami duszy kobie-ciej. Na domiar obawiano się troche Judyty dla złośliwego języka, a ponieważ nie była uczynna, nie stało nawet takich, co by garnęli się do niej dla korzyści czy przysług.

Czyż można tedy się dziwić, że krzywy grymas pogłębiał się coraz bardziej około pięknych ust Judyty, a w oczach jej zagościł na stałe żal lub nawet niedobry śmiech z ży-cia i z ludzi. Rzadko wiedząca sama czego pragnie, wiecznie z czegoś albo z kogoś nie-zadowolona, rozpromieniała się tylko, gdy ja-sławiono, podziwiano lub kochano. Lecz ludzie, jak się rzekło, kochali ją coraz mniej, tym bardziej, że im, prócz siebie, nie kochała właściwie nikogo.

Gdy tak z latami zmieniało się usposobie-nie Judyty — niestety nie na lepsze — jedno pozostawało bez zmiany: jej uroda. Umiała Judyta pomnożyć ją jeszcze tajemnymi sposo-bi: sztuką barwienia i wybranym strojem. Umiała pięknie śpiewać, grać na harfie, tań-czyć. Chociaż niewiasty na Wschodzie prze-kwitają tak przedko, cienne liście i rosta postać Judyty zachowywały wciąż ten sam oślniwa-jący urok, a ludzie mawiali, że to w nagrodę za czystość obdarzył ją Pan pięknoscią, nie ulegającą szatom wieku.

II
Ale na cóż zdala się jej uroda? Cokół chwalebnej cnoty, na którym stanęła tak wy-soko, nie dawał już z nikąd przystępu radoś-ności ciała, a wyjęcia, które by mogło pogodzić rozkosze chwały z rozkoszami miłości, nie było.

Kiedy Judyte było już blisko lat trzy-dziesią, a od śmierci Manassego minęło więcej niż dziesięć, wojska króla Assyrii, zwanego w Księdze Judyty Nabuchodonozorem obległy miasto Betulia.

Wódz króla, Holofernes, zawładł widać na dobrą sławie miastą, przeciw Betulii pierw-szej w izraelskim kraju pociągnał. Wódz szedł poprzedzając groźną sławą, wieścią i złupienia Maletu, Tarsu, Damaszk i wielu innych gro-dów, więc nadzieja, by mała Betulia potrafiła im się oprzeć przedstawiała się bardzo mar-nie. Przez dwadzieścia dni straszył obłożonych widok napływających wciąż w dolinę wojsk, przez dwadzieścia dni warowały u zamknię-tej bram miasta głód i pragnienie, kru-sząc rycerskiego ducha w Izraelu, choć jesz-cze nie przyszło do ożnej rozprawy.

Był właśnie dwudziesty dzień obłężenia. Judyta, stojąc wśród gromady wojowników żydowskich na murach miasta, przeglądała się obozowi wroga. W dolinie rozłożyły się setki namiotów, gromady wojska przeciągały to w tę to w tamtą stronę i jak w mrowisku roją się wszędzie pojedynczy ludzie. Judyta patrzy — zgnębiona i podniecona na przemian. Woj-na, wojna: — To było straszne — ale równo-cześnie niezwykle, nowe, inne niż wszystko, co dotąd działo się w jej życiu!

Naraz zastęp wozów wojennych odrywa się od assyryjskiego obozu i pędzi szybko po równinie, podnosząc obok kurzu i błyskając orężem. Wnet zaprzęgi z chrzęstem żelaza i trzaskiem kopyt o kamienie przypadają pod gōrę. Zatrzymawszy się na pół strzelania, z luku od bram miasta, Assyryjczycy wśród śmiechu i wrzasków zaczynają szyc strzałami w gromadę żydowskich wojowników na mu-rach. Zdywi odstrzeliliwują się wprawdzie, ale ich groty dzwonią tylko o twarde zbroje i tar-cze najedźców i odpadają bezsilne. Naraz Assyryjczycy zaprzestają strzelaniny, a z ich środka wysuwa się wielkołud na najwspanial-szym wozie i w blizszości od złota zbroi i zaczyna coś wołać assyryjską mową, „Holo-fernes, Holofernes” — podają sobie żydzi z ust do ust.

Judyta patrzy zaciękawiona, przejeżdża. Po raz pierwszy widzi woźa Assyrian. Jakż to mąż potężny, na niewidzianą u Hebrajczyków miarę! Na głowie jego hełm z nagłętym ku przodowi grzebieniem, niby głowa rozniewa-nego węża; na piersiach pancerz pokryty nie-przebitą łuską, jak u strasznej ryby lewiatana; w lewej dłoni wodze splezionych rumaków, a w prawej oszepek, potraszany groźnie. I oto naraz dziwna niemoc, niemoc lęku opanowuje Judytę. Takimuz się zdola oprzeć się Betulia, czy nie legną pod jego mieczem mężowie, a kobiety nie pōjdą w jego srogą niewolę?

Kiedy tak Judyta już niemal branką groź-nego męża się widła, pod murami ludy co-laszę zaprzęgnię do plugów, by orły ziemię, bo zbyt są brudne i nieurodzliwe, aby dzielić łoża jego żołnierzy. Właśnie przybyły już wszystkie wojska wodza w liczbie stu dwu-dziesiętu tysięcy i wszystkie maszyny oblężni-cze. Do jutra więc jeszcze tylko waszego ży-cia!”

Mimo, że obyczaj wojenny każe za obelgi płacić obelgami, nikt zrazu nie odzywa się na murach Betulii, jak gdyby wojownikom ży-dowskim zdrętwiał języki.

Dopiero w dobrą chwilę po odejściu Assy-ryjczyków: „Grupi niek wierzcy” powiada sto-jący obok Judyty Achior, hetman Ammonitów, który znał dobrze Holofernesa z czasów, gdy był w obozie jego więziony”. Nie ma on wojska wie-cej jak dwadzieścia tysięcy. Od bab widocznie nauczyły się takich chepliwych słów bo roz-pustnik to wielki i kobiet zawsze pełno w jego namiocie!”

Judyta wraca do siebie krętymi uliczkami Betulii, wspinając się co chwila po kamien-nych stopniach — albowiem dom jej wznosił się w górnej części miasta. Idzie, to znów przystaje, by trochę odpocząć, a w jej piersi szerzy się nienawiść moca i wprost osobista do tego wspaniałego męża, co tak zlekceważył i opłwał hańbiącymi słowy miasto i naród, któ-rego była córą i niewiastą Izraela, do których się zaliczała. „Ach ty podły, wielki Assyryj-czyk! Jakże bym chciała deptać cię, bijąc go ciozłem u moich stóp i palce wbić w twoje włosy trofione i głowę twoją po ziemi włożyć!” — zanosi się Judyta od ożywczych porывów nie-nawiści.

W domu siada, wraz ze służebnymi do swej codziennej roboty: sycenia pakulów wy-soką — by nimi potem maszyny oblężnicze Assyrian zapalać — ale ręce jej są dzisiaj leni-we i omylne. Zostawia więc pracę dziewczkom, a sama wychodzi na taras, z którego widła równie dobrze jak z murów miejskich całą dolinę dotaskają i obóz Holofernesa. Ten groźny obóz przykrywa jej oczy i nie może oderwać od niego myśli.

Słońce idące coraz wyżej zaczyna już palić nie do znieśnienia, kiedy od strony miasta dolatują wrzaski, zrazu pojedyncze, potem co-raz liczniejsze i bardziej głośnie; wreszcie zda-je się Judycie, że słychać ryk, czy jęk całego ludu. Serce jej uderza. Czyżby Holofernes wtargnął w bramy?

Właśnie bije się z myślami, czy ma wy-słać którą ze służebnych, czy też sama wybiec na miasto, kiedy spostrzega w zakręsie uliczki księcia Oszasa, Charmiego i Gotonie-la, spieszących ku jej domowi, a za nimi in-nych wielu. Za chwilę wbiega w progi domu rada kapłanów i starszych Betulii. W poś-piechu i z troskaniem nie dają sobie nawet nóg obmyć, co należy się przecież tak dostojnym gościom, lecz od razu podążają na górę, do

ustronnej izby na dachu, gdzie można swo-bodnie rozmawiać. Kiedy ich prowadzi po kamiennych schodach na górę, Judyta drży od gorącej ciekawości: czego od niej chcą? Z ich spojrzeń, gestów, z urwanych zdań, które jej słuch pochwytały, Judyta przeczuwa i prawie już wie: czyżby chcieli ją wysłać do Holofernesa?

Węc przyszło do niej samo to, o czym tam na ulicy myślała? Węc naprawdę będzie się mogła zmierzyć z Holofernesem? Pokaże temu pyszałkowi, co potrafiła niewiasty izra-elskie: przyniesie głowę jego do swych stóp. Na każdą ofiarę, na każdą ofiarę jest dla ta-kiej chwili gotowa! Zresztą nie wie, jeszcze przecież nie go co się stanie. Słucha, czeka, co starsi przyniosą.

A oni, skoro tylko znaleźli się na górę, zaczynają mówić jeden przez drugiego: właś-nie byli u nich wysłańcy głodnego i rozwście-żonego ludu i żądają poddania miasta. Ale to przecież byłoby straszne. Warunki są ta-kie ciężkie. Skąd wezmą 200 talentów? Wszy-sczy razem nie mają tyle majątku. Co teraz począć?

Gdyby udało się przynajmniej wyjednać u Holofernesa obniżenie okupu i daniny ze zbrojnych mężów!

Ale jeżeli Holofernes nie odstąpi od swych warunków? A i lud, żądający poddania mia-sta pewnie też nie odstąpi? Co wtedy będzie? Judyta słucha, ale nawet nie samych słów, — tylko w jakimś radosnym rozmarzeniu snuje obrazy coraz gorsze, co raz śmielsze, których urzeczywistnienie mają te słowa jej przyniesić.

Kapłani mówią dalej: Ich meskie radzenie na nie się już nie zda — więc przyszli do Judyty. Wielki Manasse — gdyby żył — może jeden by poradził, ale skoro go nie ma, to już tylko ona, równa mu mądrością i od-wagą musi ratować miasto. Szeroko i o-głędnie zaczynają opowiadać o tym, jak to nieraz niewiasty zastrawiały Izraela przed niebezpieczeństwem, jak umiały urokiem swo-im ułagodzić i spętać najedźców. A któż, jak nie Judyta, tak piękna i mądra, mogłaby teraz podobnie uczynić? „Nie lękaj się, nie lękaj wesołoci. Chce się jej przedzielić śmiać, kłócić się po mieszkaniu, rzucając dowolnie słowa służebnym, tak że cały dom rozbrzmie-wia przez czas jakiś śmiechem i szczebotem.”

Potem Judyta rozkazuje służebnikom sporządzić kąpiel i namaścić siebie wonioscia-mi. Gdy tak spoczywa, a niewolnice wokół niej się trudeją, myśli Judyty odbiegają do odległych czasów, gdy tak samo namaszczano ją przed wejściem w żońnię Manassego. Pa-trzy na swoje ciało i ogarnia ją lęk, że nie jest już takie piękne i młode, jak było wno-czas. I Judyta, zmieniła dziś jak pogoda w mlesiegu Adar, popada z poprzedniej wesołosci w nagły smutek, że wszystko przemija — tak przydło, że lata nie dadzą się w biegu zatrzy-mać.

Natarta na zakończenie drogi pachnid-łem z ziela nardu, Judyta odprawia służebne i zwraca się wreszcie myślami ku przyszłości, ku temu co ją czeka. I oto widzi, że pod-stępny starców, choć się tak na nie oburzyła, zaległy się jednak w jej duszy. Właśnie to, co oni mówili, a nie co ona im rzuciła, przy-chodzi jej teraz uparcie przed oczy. I Judyta, której tak dawno nie było dane zaznać uściś-ku mężczyzny, nie może się zaprzec, że obra-zy te burzą jej krew, że serce zaczyna bić mocniej.

Nastród Judyty znnowu się zmienia: jest zła, niezadowolona z siebie. Jakże to? — Jeżeli potrafiła przez tyle lat nie dać przyste-pu godziwej miłości i nawet wypełnić ze siebie samo jej pragnienie — to miabyży obcho-dzić ją teraz, miabyżby nęcił uściśki tego oho-pa, dzikusa, nieczystego barbarzyńcy?

Na darmo przekładka sobie Judyta, że tu przede wszystkim o wielki czyn, o wybawie-nie ojczyściego miasta idzie, że tamto są sprawy poboczne i nieważne, że czyn wszystko pokryje i odkupi. Duma jej, od tyłu lat z czystością zbratana, wdraża się. Judyta go-towa jest odmówić starcom, nie iść do Holo-fernesa. Staje na rozdrożu, wzburzona, nie-wiedząca co czynić. I dopiero wtedy spo-strzega nagle rzecz najprostszą, jedynie słuszną: że Holofernesa może zabić od razu, zanim cokolwiek się stanie.

Na łoż obok niej przysiadł domowy kot. Judyta głaszcze go z uczuciem głębokiej ulgi i wyciera kł na niedalekiej chwili spotkania, by jej obraz coraz wyraziściej, coraz bardziej wedle swego upodobania odgadywał. Oto w namiocie wroga, po długich, daremnych ro-zmowach będzie się zmagać z Holofernesem, który jej pōżąda, zmagać na śmierć i życie — aż w końcu, wyrwawszy mu za pasa pugi-ną — przebieje. Judyta nie może tylko wy-brać, czy ma go zabić jak żołnierz wśród boju, piersi na zdyszanę pierś — czy też do-piero powolona na łoż, kiedy Assyryjczyk, opanywany namiennością, straci przytomność — przebie zdradziecznik sztychmem!

Popohndnie mało się już niemal ku po-łowi (a jeszcze przed zmierznięm trzeba było wyruszyć do Holofernesa), kiedy Judyta po-wiedziała sobie: dosyć. Z tą chwilą musiała się skończyć jej domowe, nieważne, nikomu nieznanie dumania. Teraz wstępuje na dro-gę, gdzie będą ją widzieć wszyscy, teraz ma być w niej już tylko myśl o działaniu.

Judyta odyskuje od razu postawę trzeź-wej, gdy trzeba, i przemyślanej Hebrejki. Każe przygotować najpiękniejsze swe szaty i dro-gocenne klejnoty. Niewolnice, które mają jej

Oczywiście, jeżeli trzeba będzie, to i to goto-wa jest uczynić. Ale niech oni sobie nie my-sła, niech nie waga się myśleć, że ona podję-łaby się tego, gdyby nie inny cel, który jej przysięca. Tak inny, całkiem inny.

Ala jaki? Nie wie jeszcze, czuje tylko, że cel ten musi być wielki, wspaniały, jej godny. Cel, dla którego wszystko będzie war-to poświęcić, co trzeba będzie poświęcić. Przez głowę jej przelatują obrazy, tłoczą się. Któ-ry z nich, który z nich? I już prawie widzi: najwspanialszy, najwięcej krwii. Jeszcze chwila, a rzuci go tym starcom, pokaże im o co jej n a p r a w d e chodzi. Zamilkn im bez-wstydne usta.

Właśnie słyszy jak starsi coraz pokorniej i obłesniej bągała: „Tyś piękna. Tyś jedyna! Oczaruj go, zdołaj jego jaśk, ubiagaj, by zadowolił się małym okupem i odszedł!” I Judyta w nagłym natężeniu dumy i niena-wiści do wroga woła: „Ja Holofernesa nie będę błągał, ja go zabiję!”

Przeraziła i podziw u kapłanów. Inaczej już na nią patrzy. Nie jak na towar, który chcieli przehandlować, ale jak na wybacielkę, wysłanek Jehowy, następczynię proroków. Później, kiedy mignęła już natchniona chwila i omawiane są szczegóły wyprawy, bu-dzą się jednak w Judycie lęki niewiasty, wy-chowanej w surowych przykazaniach Zakonu. Pyta starszych: „Co będzie, jeżeli Holofernes każe mi jeść pokarmu, nieczysty i pić napój zakazany? Posłuchać mam li, czy odmówię?” Czuje, że powinna była jeszcze o inne rzeczy zapytać, ale szlachetna niechęć zesznurowuje jej usta. Kapłani uspokajają jej skrupuły. Książe Oszas mówi dobitnie: „Jeżeli w dobrej sprawie pożywasz pokarmu nieczyste-go — bez grzechu jesteś!”

Gdy po naradzie starsi wreszcie wyszli, ogarnia Judytę naraz dziwna wesołość — nie przedobnie uczynić? „Nie lękaj się, nie lękaj wesołoci. Chce się jej przedzielić śmiać, kłócić się po mieszkaniu, rzucając dowolnie słowa służebnym, tak że cały dom rozbrzmie-wia przez czas jakiś śmiechem i szczebotem.”

Potem Judyta rozkazuje służebnikom sporządzić kąpiel i namaścić siebie wonioscia-mi. Gdy tak spoczywa, a niewolnice wokół niej się trudeją, myśli Judyty odbiegają do odległych czasów, gdy tak samo namaszczano ją przed wejściem w żońnię Manassego. Pa-trzy na swoje ciało i ogarnia ją lęk, że nie jest już takie piękne i młode, jak było wno-czas. I Judyta, zmieniła dziś jak pogoda w mlesiegu Adar, popada z poprzedniej wesołosci w nagły smutek, że wszystko przemija — tak przydło, że lata nie dadzą się w biegu zatrzy-mać.

Natarta na zakończenie drogi pachnid-łem z ziela nardu, Judyta odprawia służebne i zwraca się wreszcie myślami ku przyszłości, ku temu co ją czeka. I oto widzi, że pod-stępny starców, choć się tak na nie oburzyła, zaległy się jednak w jej duszy. Właśnie to, co oni mówili, a nie co ona im rzuciła, przy-chodzi jej teraz uparcie przed oczy. I Judyta, której tak dawno nie było dane zaznać uściś-ku mężczyzny, nie może się zaprzec, że obra-zy te burzą jej krew, że serce zaczyna bić mocniej.

Nastród Judyty znnowu się zmienia: jest zła, niezadowolona z siebie. Jakże to? — Jeżeli potrafiła przez tyle lat nie dać przyste-pu godziwej miłości i nawet wypełnić ze siebie samo jej pragnienie — to miabyży obcho-dzić ją teraz, miabyżby nęcił uściśki tego oho-pa, dzikusa, nieczystego barbarzyńcy?

Na darmo przekładka sobie Judyta, że tu przede wszystkim o wielki czyn, o wybawie-nie ojczyściego miasta idzie, że tamto są sprawy poboczne i nieważne, że czyn wszystko pokryje i odkupi. Duma jej, od tyłu lat z czystością zbratana, wdraża się. Judyta go-towa jest odmówić starcom, nie iść do Holo-fernesa. Staje na rozdrożu, wzburzona, nie-wiedząca co czynić. I dopiero wtedy spo-strzega nagle rzecz najprostszą, jedynie słuszną: że Holofernesa może zabić od razu, zanim cokolwiek się stanie.

Na łoż obok niej przysiadł domowy kot. Judyta głaszcze go z uczuciem głębokiej ulgi i wyciera kł na niedalekiej chwili spotkania, by jej obraz coraz wyraziściej, coraz bardziej wedle swego upodobania odgadywał. Oto w namiocie wroga, po długich, daremnych ro-zmowach będzie się zmagać z Holofernesem, który jej pōżąda, zmagać na śmierć i życie — aż w końcu, wyrwawszy mu za pasa pugi-ną — przebieje. Judyta nie może tylko wy-brać, czy ma go zabić jak żołnierz wśród boju, piersi na zdyszanę pierś — czy też do-piero powolona na łoż, kiedy Assyryjczyk, opanywany namiennością, straci przytomność — przebie zdradziecznik sztychmem!

Popohndnie mało się już niemal ku po-łowi (a jeszcze przed zmierznięm trzeba było wyruszyć do Holofernesa), kiedy Judyta po-wiedziała sobie: dosyć. Z tą chwilą musiała się skończyć jej domowe, nieważne, nikomu nieznanie dumania. Teraz wstępuje na dro-gę, gdzie będą ją widzieć wszyscy, teraz ma być w niej już tylko myśl o działaniu.

Judyta odyskuje od razu postawę trzeź-wej, gdy trzeba, i przemyślanej Hebrejki. Każe przygotować najpiękniejsze swe szaty i dro-gocenne klejnoty. Niewolnice, które mają jej

towarzyszyć dobiera starannie wedle ich piek-ności i apytu. Odrzuca szczipie, bo pamięta, że goście assyryjscy w czasie odwiedziny o niej tylko na tegie dozwolony łakomie spoglądali. Kobiety ta będą przynęta dla straży wodza i oddlegną uwagę innych, gdy ona swoje uczu-ni. Zamiarów swych Judyta nie zdradza przed żadną z niewolnic. Kiedy pytają ją pełne cie-kawości, objaśnia krótko, że udaje się do obozu nieprzyjaciół z polecenia Rady.

Przystoiwszy się tak, że aż dziewczęta służebne poczęły cmokać z podziwu, Judyta przed samym wyjściem narzuca na to wszyst-ko piaszcz żabomy, wdowi.

Wreszcie, gdy słońce dobrze już pochyli-ło się ku zachodowi, wychodzi Judyta z domu z orszakami dziesięciu służebnic. Jednak na ciasnych uliczkach miasta zabiega jej drogę tłum ogłodzonych ludzi, którzy już wiedzą, że jest posłanką do Holofernesa. Ciasną się, kłóci, żąda, że niech ją wypuści. W piersiach Judyty w

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

LISTY Z PERSJI

Koniec wojny w Iranie przyjęto sceptycznie. Wprawdzie czynniki oficjalne zorganizowały parę manifestacji z powodu tego wydarzenia, wypadło to jednak dość blado. Ludność Iranu przyjęła wiadomość o pokonaniu Niemców jako rzecz samo przez się zrozumiałą, która nie daje przyczyny ani do specjalnej radości ani też smutku. Sklepiarki irańskie powywieszały tu i ówdzie narodowe flagi, ale stolica mimo to nie zdołała przybrać odświętnego wyglądu.

W północnych prowincjach Iranu sprawa wyglądała nieco inaczej: według opowiadań naocznych świadków w Tabryzie było po prostu czerwono: wszystkie domy powywieszały flagi irańskie i sowieckie, a ponieważ sowieckie są nowe i ich mocny czerwony kolor dominuje nad wyblakłymi kolorami irańskimi, ktoś przyjezdny mógłby się zapytać, czy znajduje się w Persji czy w Rosji.

Jedyną grupą, jaka manifestowała wielką radość z powodu pokonania Niemców była komunistyczna partia T u d e h. Jej członkowie, co raz częściej zaprawiani w marszach publicznych, (na pierwszego maja zorganizowano ostentacyjną demonstrację) przemaszewali pohownie przez główne ulice Teheranu niosąc transparenty i wiwatując na cześć komunizmu i Rosji.

Naród perski patrzy na wydarzenia w Europie z dużą dozą sceptycyzmu. Inteligencja zastanawia się, czy nie można by wysnuć wniosków co do przyszłości Iranu z kompromisów politycznych Anglii i Ameryki w Europie, lud zaś traktuje sprawy obojętnie, myśląc jedynie o tym, by ceny były mniej wygórowane i by można było spać spokojnie bez obcej interwencji.

Iran, jak i wszystkie mniejsze narody, pragnie istotnej niepodległości. Potrójny traktat anglo-irano-rosyjski z r. 1942 przewidywał, że wojska okupacyjne opuszczą Iran w sześć miesięcy po zakończeniu wojny. Ale zaraz po zwycięstwie w Europie powstało pytanie, czy traktat ma na myśl wojnę z Niemcami, czy wojnę z Japonią. Anglicy zademonstrowali gotowość zastosowania się do tej klauzuli traktatu, jeżeli również i oddziały rosyjskie opuszczą północny Iran. Jak wiadomo, Rosja nie spieszy się z ewakuacją swych wojsk z Iranu, przeciwnie, uważa je za dogodny środek presji w swych żądaniach dotyczących koncesji naftowych.

Opinia irańska domaga się ewakuacji wszelkich obcych wojsk i to zarówno na łamach prasy probrytyjskiej, jak i komunistycznej, jak i również, nielicznej zresztą, prasy niezależnej. Operacja wycofania wojsk jest oczywiście sprawą delikatną i dość skomplikowaną. Ktoś musi dać przykład — Sowiety lub Anglia. Z drugiej znów strony, gdyby obecnie wojska miały być wycofane tylko poza granice Iranu, a pozostałyby nadal skoncentrowane tuż nad jego granicą, wewnątrz terytorium sowieckiego, indyjskiego lub irańskiego, trwałaby nadal napięta atmosfera.

Zmiana warty

Z końcem wojny w Europie zbiegła się konstrukcja gabinetu irańskiego. Ustąpił rząd premiera Bayata, na jego zaś miejsce został powołany gabinet p. Hakim-el-Molka. Nowy premier ma lat 74 i według zgodnej opinii nie należy już do tej generacji, która by mogła dać swojej ojczyźnie nowe idee i pchnąć ją na nowe drogi rozwoju. Tymczasem w Iranie mówi się wiele o reformach. Wydawało by się zatem paradoksalne, że w tak przełomowych chwilach Iran wybiera sobie jako przywódcę człowieka w ósmym krzyżku. Kto jednak zna psychologię azjatycką, a w szczególności irańską, dla tego decyzja taka nie jest niespodzianką. Iran — jak mówił Gobineau — jest zwardym blokiem, który wzburzone fale rzeki mogą nieco poruszyć, ale ostatecznie wróci on zawsze na swoje dawne miejsce. Powołanie starego człowieka na stanowisko szefa rządu jest właśnie w tym sensie charakterystyczne dla Iranu. Stanowi to typowy dowód, że Iran spodziewa się więcej osiągnięć przez politykę spokoju i wyczekiwania, aniżeli przez zbytnią aktywność, która by mogła narazić go na nieobliczalne sytuacje.

Między Anglią a Iranem stosunki nie zawsze były idealne. Tak np. sprawa koncesji naftowej Anglo-Iranian Oil Co. zostawiła u Irańczyków pewien uraz psychiczny i Anglicy muszą dzisiaj wytykać wiele sił, by zyskiwać lub utrzymywać sympatie proangielskie w tym kraju. Pomimo tego przeciętny Irańczyk zdaje sobie doskonale sprawę z tego, że Anglia jest wysoce zainteresowana w niepodległości Iranu, i że gdyby ktoś miał na tę niepodległość dokonać trwałego zamachu, Anglia nie zawaha się przed użyciem ostrych nawet środków. To głębokie przekonanie pozwala Irańczykowi spać spokojnie i pozwala mu nie przejmować się tym, iż jego nowy premier nie należy do ludzi młodych.

W gruncie rzeczy przez powołanie nowego rządu nic w zasadzie się nie zmieniło. Rząd Bayata miał charakter tymczasowy (tymczasowość ta trwała wprawdzie pół roku) i nowy rząd posiada ten sam charakter. Sytuacja w Iranie nie dojrzała jeszcze do radykalnych rozstrzygnięć. W Iranie potrzebny będzie w przyszłości mocny człowiek. Nie tyle ze względu na politykę zagraniczną, ile ze względu na sytuację wewnętrzną. Człowiekiem tym może się stać w przyszłości Seid-Zia-ed-Din.

„Eredeye Melli“

Seid-Zia-ed-Din był premierem Iranu na początku panowania szacha Rezy, popadł jednak w nielaskę monarchy i znalazł się na wygnaniu. Przez blisko dwadzieścia lat przebywał za granicą, przeważnie w Palestynie, i dopiero podczas obecnej wojny powrócił do swej ojczyzny. Zjawiwszy się z powrotem w Teheranie przystąpił do organizowania ruchu narodowego, który by w oparciu o sojusz z Wielką Brytanią rozwijał społeczne i ekonomiczne problemy kraju, kładąc kres anarchii.

Seid-Zia zgromadził koło siebie kilka dzienników, które udzielały mu swego poparcia i prowadziła ostrą kampanię polityczną celem wysunięcia swego przywódcy na czoło życia publicznego Iranu. Grupa ta znalazła się z natury rzeczy w ostrym konflikcie z elementami komunistycznymi, działającymi z obcego podżuczenia.

Ważnym krokiem naprzód było zorganizowanie przez Seid-Zia regularnej partii politycznej pod nazwą Eredeye Melli, co znaczy „Wyzwolenie narodu“. Wprawdzie pierwszą partią w Iranie opartą na wzorach nowoczesnych była partia komunistyczna, ale i partia Seid-Zia-ed-Din również przyjęła współczesne metody organizacji życia politycznego: posiada ona swój zarząd centralny, oddziały prowincjonalne, prasę i na równi z

komunistami przygotowuje się do wyborów, które odbędą się w jesieni br.

Koniec „Voice of Britain“

Mogło by się wydawać, że Iran został bezpowrotnie podzielony na dwie sfery wpływów i że zależność od obcych mocarstw pogłębia się coraz bardziej. Takie zdanie byłoby słuszne

jeżeli idzie o fakty, natomiast tendencje polityczne Iranu są wręcz odmiennie.

Spośród trzech czynników zainteresowanych rozwojem politycznym Iranu przynajmniej dwa z nich, tzn. sam Iran i Anglia dążą do zniesienia podziału na sfery wpływów obcych mocarstw. Charakterystycznym objawem tego stanowiska Anglii było niedawne przyjęcie w brytyjskim Biurze Propagandy, jakie odbyło się z okazji zakończenia programu angielskiego w radio teherańskim.

Od początku wojny radio teherańskie musiało wypełniać różne serwituły wobec aliantów. Programy: brytyjski i sowiecki zajmowały w godzinach wieczornych tyle czasu, że zostawało go już niewiele dla programu irańskiego. Amerykanie także mieli swój program, ale po pewnym czasie dobrowolnie wycofali się zakładając dwie własne stacje nadawcze, mające obsługiwać oddziały amerykańskie w Teheranie i Achwazie. W związku z zakończeniem wojny Anglicy zdecydowali, że nie ma już potrzeby przekonywać Irańczyków o jedynomyślności „Wielkiej Trójki“ i o nikczemności Niemców. Uznali oni, że pierwszym wyrazem wolności Iranu powinno być przerwanie fałs oficjalnej zagranicznej propagandy.

Dotychczasowy program teherański pod nazwą „Voice of Britain“ został zlikwidowany i ambasadą brytyjską chciała podkreślić symboliczne znaczenie tego faktu przez urządzenie wielkiego przyjęcia dla rządowych, intelektualnych i prasowych sfer Iranu. Okazało się jednak, że gest angielski nie wywołał odzewu po stronie sowieckiej. Program sowiecki idzie nadal nieuszczipiony i przeciętny słuchacz irański ma wiele sposobności upajania się językiem Czechowa i Gogola, słuchając... własnej narodowej radiostacji.

Wysięg kulturalny

Anglicy wyrzekając się w Iranie bezpośredniej propagandy politycznej i oczekując, że ich partnerzy sowieccy uczynią to samo, nie wyrzekli się jednak propagowania angielskiej kultury. W Iranie działa od przeszło dwu lat popularna instytucja British Council, której zadaniem jest szerzenie kultury angielskiej i wiedzy o Anglii.

British Council w Iranie może się poszczycić nie lada wynikami. Od chwili zawiązania się jej pierwszych przedstawicieli w Teheranie w r. 1942 instytucja ta zorganizowała w Teheranie, Ispahanie i Szirazie specjalne zakłady, w których można nauczyć się angielskiego, słuchać odczytów o historii, literaturze i sztuce angielskiej, oglądać sztuki dramatyczne, grane bardzo starannie przez odpowiednio przygotowane zespoły amatorskie, można wreszcie... stać się przyjacielem Anglii.

Liczba uczniów Instytutu Anglo-Perskiego w Teheranie urosła już do 2 tysięcy. Instytut stał się prawdziwym centrum kulturalnym, miejscem rendez-vous ministrów, profesorów i dziennikarzy. O nowej sztuce Bernarda Shaw, wystawionej w Instytucie pod auspicjami „Anglo-Iranian Dramatic Society“ mówi się w stolicy Iranu jak o wielkim ewenemencie, idącym w parze z przyjęciem w jakiejś obcej ambasadzie. Może Anglikom nie było łatwo wytłumaczyć Iranowi, dlaczego czerpią tak wielkie zyski z perskiej ropy, przyszło im natomiast dużo łatwiej znaleźć wiele osób w sferach intelektualnych Teheranu, dla których kultura angielska stała się naprawdę atrakcyjna.

Takie postępy brytyjskiej propagandy kulturalnej nie mogły pozostać bez echa, jeżeli chodzi o stronę sowiecką. Znana instytucja sowiecka WOKS (towarzystwo dla stosunków kulturalnych z zagranicą) ma także w Teheranie swego przedstawiciela i czyni starania, by zainteresować Persów kulturą sowiecką. Założono więc tzw. Dom Kultury, gdzie odbywają się odczyty i gdzie wyświetlają filmy rosyjskie. Na wszystkie imprezy WOKSu chodzą regularnie różni dygnitarze irańscy, uważając prawdopodobnie swoją obecność za obowiązek państwowy. Gdyby przedstawiciel WOKSu miał składać sprawozdanie z działalności swym władzom, mógłby pochwalić się pokazaną ilością imprez i frekwencją Persów. Wydawało by się zatem, że północny sąsiad Iranu osiąga podobne rezultaty co Anglicy. W rzeczywistości tak nie jest. Ażby propagować kulturę trzeba czegoś więcej niż tylko lokalny, prelegenta i frekwencję.

Rosjanie nie zdołali wytworzyć kontaktu między większą grupą rosyjską a społeczeństwem perskim. Każdy prawie Iranczyk woli swój tradycyjny tryb życia od totalitarnego standardu sowieckiego. Ponadto propaganda sowiecka natrafia na utrudnienia po swej własnej stronie, gdyż przedstawicielom sowieckim zagranicą nie wolno się bratać z miejscowym społeczeństwem. Przepis ten jest łatwo zrozumiały, gdyż efekt propagandowy mógłby być wręcz odwrotny: mianowicie zamiast pozyskać nową owieczkę, wysłannik sowiecki mógłby sam paść ofiarą czaru obcej kultury, czego przykłady już nieraz mieliśmy.

Anglicy natomiast widziani są wszędzie. Prawie że nie ma zamieszkiwanego domu perskiego, który by nie zapraszał do siebie Anglików i nie ma, wybitniejszego Persa, który by nie utrzymywał z Anglikami osobistych stosunków. W tej zatem konkurencji Anglia wygrywa. Szanse Rosji polegają jedynie na propagandzie politycznej wśród mas.

W tym wysięgu kulturalnym pojawili się ostatecznie dwaj nowi współzawodnicy. Są to Amerykanie i Francuzi. Amerykanie zorganizowali Towarzystwo Stosunków Kulturalnych Irano-Amerykańskich. Na konferencję w San Francisco rząd amerykański zaprosił na własny koszt czterech redaktorów najwięcej pism teherańskich. Amerykańskie poselstwo ofiarowało ostatnio uniwersytetowi teherańskiemu 200 książek naukowych, co zostało przyjęte z wdzięcznością.

Mamy wreszcie Francję, której wpływ wskutek poniesionej klęski militarnej skurczył się na Wschodzie. Dzisiaj Francja stara się wrócić do dawnej pozycji i nadrobić stracony czas, przede wszystkim w dziedzinie kulturalnej. Alliance Française znowu wystawia sztuki teatralne francuskich autorów, poselstwo wydaje dobrze redagowany tygodnik w języku francuskim, poświęcony sprawom kulturalnym. Pojawiają się na rynku francuskie filmy, przyjeżdżają francuscy uczeni, jak np. ostatnio słynny orientalista prof. Massignon.

HISTORIA JUDYTY

(Dokończenie ze str. 5-tej)

ażeby zagłuszyć w sobie ów lek nową rozkoszą, — ażeby pograżyć Holofernesa jeszcze głębiej w bezbronnym śnie, — aby... po prostu przedłużyć tę noc. I to ostatnie jest właściwie całą prawdą. Wśród ciemnej nocy, w uniesieniu ciała, Judyta czuje się już tylko rozkochaną kobietą.

Więc chce tego? — tak, chce tego! Co ją obchodzi wszystko inne? Miasto zostało daleko, kapłani daleko. Tu jest tylko ona i ten wspaniały mężczyzna.

Chwilami zdaje się jej, że nie ona, Judyta, tu leży, ale ktoś całkiem inny. Jakże dobrze jest czuć się tą inną!

„Nie wiedziałem, że Hebrejki tak kochać umieją“ — powiedział w pewnej chwili wolno Holofernes i uciął. Spał.

A może go wcale nie zabijać? — myśli sennie Judyta, gdy jej oczy również się kleją — przecież kapłani dali jej swobodę czynienia co zechce.

Z ciężkiego snu wyrwał Judytę niepokój, że trzeba wstać, że coś jeszcze jest niezakończonych. Ale w jawę wraca niechętnie, zbudziła się od razu z uczuciem jakiegoś dotkliwego niezadowolenia. Nie chce już wina, nie chce Holofernesa, nie chce niczego.

Więc nie zabijać go? — podejmuje w mętnej jeszcze od snu głowie ostatnią myśl sprzed zaśnięcia. Ale naraz myśli trzeźwiejącej Judyty zwracają się gwałtownie ku całkiem innej sprawie — ku niej samej. Jakżeż to było z nią? — przypomina sobie. Judyty ciało stało się łupem tego samca, tego nieczyścigo barbarzyńcy? Ach, jak niemiło. Czyż naprawdę musiała przez długie godziny być najpilniejszą z nałożnic tego człowieka? Gdybyż można uciec od tego wszystkiego jak najdalej, gdyby można zapomnieć!

Zamyka oczy, usiłuje nie myśleć. Ale to wszystko stoi uparcie tu obok i nie daje się wypchnąć, to znów wypływa nagle z nocy — właśnie najbardziej niechętne uściski, najulegalsze słowa — z niezmierną wyrazistością, jak gdyby były utworzone z pamiętnia. „Nie wiedziałem, że Hebrejki tak kochać umieją“ — słyszy znów słowa Holofernesa, zda się, mówione przez śpiącego wprost do jej ucha.

Czyż warto piąć takim wstydem za jedną noc? Przecież Holofernes nie więcej dać jej nie może — trzeba już wracać do swoich. Radość była krótka, a sromota pozostanie.

Odrzuciła udreżoną myślami głowę i wtedy widzi obok siebie w młym blasku lampki oliwnej twarz i całą postać Holofernesa, rozpostartą na łożu dufnie a bezbronnie. Żebyż go nie widzieć! Więc ten sprośny samiec — ten kochanek dziewczek zebranych z bylejak — to również i jej pan, jej zdobywca. Będzie ze śmiechem opowiadał w całym obozie, że ją wziął, że ją ma. Ma jak te dwie branki, które zastała w namiocie. Ją, Judytę!

To przez Holofernesa się stało, to on wszystkiemu winien! Przez niego jej słała czystości przepada. Przez każdy mówiący o niej będzie już dodawał: była u Holofernesa. A po cichu pomyśli: oto sobie użyła, a teraz szczyści się, że ratowała miasto.

Judyta siada na łożu, ujmując głowę w ręce i kołyszże się, zawadzać wewnętrznie. Już nigdy nie wróci jej sława nieskalana, jej czystość, niepodlegająca zarzutom. Już jest splamiona na zawsze, już ludzie będą mieli prawo uśmiechać się, mówiąc o niej.

I oto wszystkie jej uczucia zbiegają się w jedno: w nienawiść do Holofernesa. Niech przepada, niech ginie, on musi mi za to zapłacić!

Jak gdyby furta wyzwolenia otworzyła się przed nią: gdy jego nie będzie wszystko zczepnie wraz z nim, wszystko spłynie z potokiem wrażeń krwi. Ach, głupia — po cóż się dręczyła. Czyż taki właśnie nie był jej zamysł od początku?

Martwi nie mówią. Nikt już się nie dowie co się tutaj stało. Na wieki zamkną się usta jedyne świadka. Kamień w wodę. A Judyta zapiaci sowy okup — za wszystko cokolwiek czuła, czegośkolwiek pragnęła tej nocy — ciosiem miecza. I wtedy ktoś ośmieli się jeszcze coś z tego o niej powiedzieć?

Wśród ciągłego przepływu myśli Judyty naraz rozstrzyga: „zabije“.

Odtąd wszystko dzieje się już łatwo a obco, jak gdyby działał za nią kto inny. Judyta wysuwa się z łożka od razu, nagimi, ci-chymi, stopy. Na pamięć, nie patrząc nawet trafia dłońią do głowicy miecza.

Dopiero, kiedy już z ostrzem w rękę stoi nacyloną nad Holofernesem, chwytając ją nagły poryw ciepła dla tej kędzierzawej głowy i prawie żalu, że za chwilę już go nie będzie. Lewe jego ramię leży jeszcze tak samo odrzucone na krzyż, jak kiedy ją trzy-

mał w objęciu. Nie, nie — odepchnięta w sobie Judyta ten żal. To Holofernes znowu wyciągnął po nią ręce. Więc tym prędzej trzeba już kończyć, właśnie dlatego zabije.

Lewa pierś Assyryjczyka była odsłonięta. Judyta obraża okiem miejsce. Ujęła ręką jeszcze mocno, jak zwykła przy biciu domowych zwierząt i pchnęła z ramienia. Miecz oparł się zrazu o twarde brzeg żebra, ześliznął się i wszedł w ciało po samą głowicę. Holofernes drgnął, potem wypreżył się cały; wreszcie opadł beżwładnie na łożo — jak gdyby chciał dalej spać. Około rany rozszerzała się plama krwi. Trzeba było uciekać.

Nakrywszy dla niepoznaki trupa po samą szyję, Judyta wymyka się na zewnątrz. Straż przed namiotem przepuszcza ją: wiadomo — nałożnica wodza. Tak samo i dalej nikt jej nie zaczepia. Obóz jest rozespany przed świtem. Wszędzie zresztą widać ślady ucztowania, na które zezwolił Holofernes. Żołnierze leżą przed namiotami, jak który upadł, chrapiąc. Raz Judyta o mało co nie potknęła się o własną służebną, spoczywającą w objęciu jakiegoś żołdaka.

Pod osłoną ostatnich chwil nocy Judyta uchodzi z obozu. Odszedłszy na bezpieczną odległość, kroczy już powolniej wzwyż zacyznając się pochyłości.

Właśnie zaczyna świtać. Ziemia występuje z nocy — szara jeszcze i bez barw. Judyta, idąc dotąd po omacku, poznaje zakręty ścieżki ku miastu, winnicę Charmiego, dwa drzewa oliwne ponad nią. Nie zbłądziła.

I wtedy opadają ją myśli niespodziewane, że. Oto poza nią została najwspanialsza chwila jej życia — wielki, niepowtarzalny czyn. Judyta widzi z niesłychaną ostrością wzroku szare przyszłe dni, wszystkie takie, jak te które dobrze zna — dni może jeszcze gorsze, bardziej mdłe i aż rozpaczliwe przez zestawienie z obecną niezapomnianą chwilą. Przecież drugiego Holofernesa w jej życiu nie będzie, ani powtórzy się ta wspaniała noc śmierci i szau. Każdy krok oddala Judytę od prawdziwej wielkości, od zaszczytnej walki (czy tylko od wielkości i walki?) — a przed nią, tam u góry czeka już tylko dostojna nuda, do końca.

Naraz wyskakują z krzaków przydrożnych wysłannicy miasta, oczekujący tu z niepokojem na Judytę i wieść jaką przyniesie. Prawie niechętnie i krótko mówi im Judyta co się stało. Oszałała — po godzinach lęku — wrzask, wrzask uciechy, tryumfu, zachwyty nad czynem Judyty uderza w niebo. Niemal równocześnie, zaledwie o mgnienie prędzej, dobiega z obozu assyryjskiego inny, zgłuszony odległością, zgłęk — wściekłości, zamieszania, trwogi: odkryto widać, że Holofernes nie żyje.

I te dwie niemilkące burze okrzyków coraz milej lechca uszy i prostują zgnębioną duszę Judyty. Wielka, wielka — jakiegoż to czynu dokonała! Wraz z duszą prostuje się jej postać, błyskają dumnie oczy, z ust płyną wschodnie, patetyczne, zrozumiałe słowa. Stara rozkosz pychy rozdyma jej piersi i trumi ostatnie westchnienia.

Zapisana jest wiernie w Księdze pieśń, jaką Judyta zaśpiewała wtedy ludowi, nadbiegającemu tłumnie od bram miasta:

„Nie poległ Holofernes mocarz od młodzieńców, ani go zabili synowie Tytana, ani wysocy obrzymowie zastawili mu się: ale Judyta, córka Merary zwągliła go pięknoscią twarzą swojej.“

„Zwlekła się bowiem z szat wdowieństwa i oblokła się w szaty wesela na rozradowanie synów izraelskich.“

„Pomazała oblicze swe olejkami i ściągnęła kędziorki swe koronką, wzięła szatę nową, aby go zdradzić.“

„Patynki jej uchwyciły oczy jego, pięknosć jej pojmała duszę jego, przebiła kordem serce jego“.

Post scriptum

Ów tryumf szlachetnej dumy, w jakim poznaliśmy Judytę przed bramami Betulii, to był tryumf podający ostatni. Jedno z odkrytych, niedawno, choć jak i Księga nie we wszystkim pewnych, źródeł historycznych, podaje, że sprawa Judyty niedobry miała koniec. Niedługo po uwolnieniu miasta zaczęły krążyć wieści, zrazu pokątne, potem coraz głośniejsze, że czysta Judyta nie pozostaje, jak dotąd, czysta. Widywano ją z tym to z owym, bynajmniej nie mędrcom i bynajmniej nie starym. Widocznie po swojej „wielkiej nocy“ Judyta poszukiwała Holofernesa w co teższym spotkaniem młodzieńcu — jedno że nie dochodząc w tym już żadnej sławy, ani nie przebijając mu wspaniałym ciosiem serca.

Tyle wspomniane źródło. Autentyczność tych wieści nie została jednak, powtarzając, dostatecznie stwierdzona.

Witold Turno

SCRUTATOR

Także chcieli niepodległej Polski...

Sumner Welles, wybitny dyplomata amerykański, w latach 1937-1943 podsekretarz stanu (wice-minister spraw zagranicznych), ogłosił książkę *The Time for Decision**, w której rozważa wszystkie aktualne zagadnienia międzynarodowe.

Wychodzi on z założenia, że trzy zasadnicze błędy polityki sprzymierzonych spowodowały wybuch drugiej wojny: braki organizacji Ligi Narodów, niekonsekwentne postępowanie z Niemcami, pomijanie Rosji w rachubach na przyszłość. Tak np. przy odbudowie Polski i tworzeniu nowych państw w Europie wschodniej i północno-wschodniej nie liczone są z faktem, że „największy i najpotężniejszy naród w Europie” powróci kiedyś do głosu w sprawach międzynarodowych i że zażąda „by prawa jego były szanowane”.

Traktat wersalski stworzył w Europie szereg nowych państw, a to musiało doprowadzić do „nacjonalistycznego fermentu”. Naddo nie uwzględniano twardych nakazów rzeczywistości. Tak np. Polacy w niedostatecznym stopniu zdawali sobie sprawę, że musi upłynąć wiele czasu zanim trzy części Polski, które przez sto pięćdziesiąt lat znajdowały się pod wpływem różnych systemów rządzenia i różnych kultur, zleżą się w jedno i, że zanim to nastąpi, trzeba będzie wielu ofiar ze strony wszystkich Polaków. Nowe państwo polskie obciążone zostało od samego początku zagadnieniem mniejszości narodowych oraz poważnymi zagadnieniami gospodarczymi. Rosja przedstawiała dla Polski wielką niewiadomą, korytarz zaś musiał stać się źródłem ustawicznych tarć z Niemcami. Podkreślając, że Polsce należał się dostęp do morza, Sumner Welles wyznaje, iż nie rozumie, jakim sposobem twórcy Traktatu mogli przypuszczać, że korytarz stanowiąc będzie trwale rozwiązanie tego zagadnienia.

Rozwój wypadków w okresie powersalskim przedstawia Sumner Welles w telegraficznych skrótach. Potępił zagrożenie przez rząd polski, „z poduszczenia płk. Becka” Cieszyca w chwili „mężenstwa Czechosłowacji”. Podnosi, że Polska nie uległa się pogroźce niemieckiej. Jak się zdaje — sądzi Welles — rząd polski przypuszczał, że Polska zdoła się utrzymać do czasu udzielenia jej pomocy przez armię francuską oraz przez marynarkę i lotnictwo brytyjskie. „Pewien wysoki urzędnik polski z największym przekonaniem udawał mi w owym czasie, że kawaleria polska odegra niezwykłą rolę w odpięciu najcięższych kolumn niemieckich”. A przecież zarówno Polska jak i cały świat zdawały sobie sprawę z uposażenia technicznego Niemiec i z kruszącej siły ich lotnictwa.

Najbardziej interesujący i pod wielu względami rewelacyjny rozdział poświęca autor swojej podróży do Europy na początku r. 1940. Odwiedziny swoje rozpoczął Sumner Welles od Włoch. Usłyszał tu od Ciana, że wbrew umowie włosko-niemieckiej, która przewidywała wzajemną konsultację przed jakąkolwiek wojсковą akcją niemiecką, Hitler rozpoczął wojnę z Polską bez zasięgnięcia opinii Włoch. „Zapobieglibyśmy, gdybyśmy mogli, najazdowi na Polskę, ale nie mieliśmy nigdy najmniejszej okazji do wywarzenia wpływu na Hitlera, aby się od tego powstrzymał”.

Ciano wskazywał dalej na głęboką sympatię Włoch dla „prawdziwych” (real) Polaków. Polska musi być odbudowana. Najlepszym dowodem intencji Włoch miał być fakt, że rząd włoski w dalszym ciągu uznaje ambasadę polską w Rzymie i że on, Ciano, czyni wszystko, co można, by złagodzić brutalność postępowania Niemców w okupowanej Polsce. Ciano dodał, że w październiku 1939 r. Hitler prawdopodobnie zgodziłby się na pokój na następujących warunkach: uznanie aneksji Austrii, ewentualnie poprzedzone plebiscytem; niepodległość Słowacji i niepodległość Czechosłowacji; całkowite niepodległość Polski, przy czym Niemcy zatrzymałyby Gdańsk, korytarz i zachodnią Polskę, zamieszkałą przez mniejszości niemieckie, a Rosja — wschodnią Polskę (Polacy z tych terytoriów zostaliby przesiedleni do nowego państwa polskiego, które uzyskałoby dostęp do morza); zwrot kolonii.

Podobne stanowisko w sprawach polskich zajęł Mussolini, oświadczając z całą „energją” (vigour): „Naród polski ma prawo do niespełnionej niepodległości i suwerenności, i udzieli mu poparcia w tych jego dążeniach. Nie znaczący to jednak, aby Polska miała znowu stać się nieodłącznym zespołem różnych narodowości. Kwestia mniejszości w ciągu ostatnich lat dwudziestu zatruwała Europę. Nie można ponownie popełnić tego zasadniczego błędu. Prawdziwi Niemcy z Gdańska, z korytarza, z Poznańskiego (Posen) muszą pozostać w Rzeszy, ale prawdziwi Polacy muszą mieć wolną Polskę z dostępem do morza”.

Spytałem: — „Co się ma stać z prawdziwymi Polakami, którzy znajdują się obecnie pod panowaniem rosyjskim?”. Mussolini odpowiedział, że mogą oni emigrować z Polski będącej pod władzą Rosjan, podobnie jak Niemcy emigrowali z Górnej Adygi z powrotem do Niemiec. „Czy można znaleźć inne wyjście, o ile nie jesteśmy zdecydowani walczyć z Rosją?”.

Kiedy Sumner Welles przed swoim odjazdem do Ameryki raz jeszcze powrócił do Rzymu, Mussolini dorzucił, że w przyszłym traktacie pokojowym trzeba liczyć się z dokonaniem przez Hitlera przesiedlenia ludności polskiej i, że, jeżeli np. przesiedlono milion Polaków z „Polski niemieckiej” do Warszawy i innych czysto polskich części kraju, trzeba to uznać za fakt dokonany.

Z Rzymu Sumner Welles udał się do Berlina. Tu Ribbentrop wyłożył mu swój punkt widzenia w kwestii polskiej. Hitler zawsze utrzymywał, że odłączenie od Rzeszy niemieckiego Gdańska i oddzielenie Prus Wschodnich nie da się na stałe utrzymać. Ale równocześnie Hitler był zdania, że zagadnienia sporne dadzą się rozwiązać w drodze rokowań między obu państwami i ten duch ożywił polsko-niemiecki pakt o nieagresji. W r. 1938 Auswärtiges Amt rozpoczął z płk. Beckiem rokowania w sprawie przyłączenia Gdańska do Rzeszy i eksterytorialnej autostrady przez korytarz. „Rozmowy te były na dobrej drodze (prospered); w zasadzie osiągnięto całkowite porozumienie (complete agreement) podczas pobytu płk. Becka w Berlinie i w Berchtesgaden na po-

POLONICA W KSIĄŻKACH ANGIELSKICH

czątku r. 1939. Ribbentrop utrzymywał, że gdyby nie obca interwencja, doszłoby do pełnej ugody (entire arrangement), ku zadowoleniu Polski, a Niemcy wyrzuciłyby zawsze przy tym rozwiązaniu”.

Tu Sumner Welles wskazuje na sprzeczność w oświadczeniu Ribbentropa, który poprzednio cytował opinię Hitlera, że korytarz na stałe nie da się utrzymać. — Cóż się potem stało? — zapytuje Ribbentrop. — Rząd niemiecki znajduje się w posiadaniu archiwów warszawskich i ma niezbite dowody, że rząd brytyjski podlegał (indited) rząd polski, by odrzucić proponowane porozumienie i spowodować wojnę z Niemcami („to determine upon war against Germany”). Podobne stanowisko zajęli dyplomaci kilku innych państw (aluzja do Stanów Zjednoczonych). Gwarancje wojskowe Wielkiej Brytanii narzucone zostały Polsce wbrew życzeniom i radom płk. Becka, jedynie w tym celu, aby powstrzymać Polskę od ustępstw dla Niemiec. W rezultacie Polacy rozpoczęli „okrutne” prześladowanie Niemców w Polsce: te przesładowania w połączeniu z mobilizacją armii polskiej zmusiły Niemcy do przedsięwzięcia akcji obronnej. W Europie środkowej Niemcy cnąc zajmować takie same stanowisko, jakie na półkuli zachodniej zajmują Stany Zjednoczone na zasadzie doktryny Monrogo. Jako wielkie mocarstwo Niemcy mają prawo do obrony swych żywotnych interesów i do odcinania uznania przez inne mocarstwa sfery wpływu Niemiec w Europie środkowej. W sprawach Europy wschodniej Niemcy będą rozmawiały jedynie z Rosją sowiecką, z nikim innym.

W tym samym tonie utrzymane były wywolenia Hitlera, który przypominał, iż zapowiedział ambasadorowi brytyjskiemu, że Niemcy nie mogą pozwolić na ustawiczne wtrącanie się mocarstw zachodnio-europejskich do spraw Europy wschodniej i że nie mogą ścierpieć stanu rzeczy, który prowadzi do coraz większego zagrożenia żywotnych interesów Niemiec. Niemcy nie pragną panowania nad nie-niemieckimi narodami i nie chcą niszczyć czy ograniczać niepodległości swych sąsiadów, ale „nie mają zamiaru dopuścić, aby jakiegokolwiek państwo na wschodniej granicy Niemiec stanowiło znowu wojskowe lub

strategiczne zagrożenie bezpieczeństwa Niemiec”. Poza tym Niemcy muszą domagać się uznania ich przewagi gospodarczej w Europie wschodniej i południowo-wschodniej.

Jak widzimy, poglądy Hitlera na przyszłość Polski były bardzo podobne do znanych poglądów innego państwa, można tylko zapisać na dobro Hitlera, że nie mówił o „silnej” Polsce.

Interesującą rewelację przyniosła rozmowa Sumnera Wellesa z Goeringiem. Oświadczył on Wellesowi, że w czasie pobytu Ribbentropa w Paryżu, w grudniu 1938 r., w celu podpisania paktu o nieagresji, Bonnet — w imieniu rządu francuskiego — oświadczył, że Francja, wyciągając konsekwencje z układu monachijskiego, rezygnuje ze swoich interesów w Europie wschodniej i że powstrzyma się od dalszego wpływania na politykę Polski: w szczególności Francja nie będzie sprzeciwiała się powrotowi Gdańska do Niemiec i autostradzie przez korytarz. Jeśli chodzi o przyszłość Polski, Goering uważa, że „Polacy, którzy naprawdę są Polakami, powinni uzyskać wojnę i niepodległą Polskę z dostępem do morza”.

W czasie wizyty Sumner Wellesa w Paryżu, Bonnet zaprzeczył twierdzeniu Ribbentropa. Wprost przeciwnie, podpisując pakt o nieagresji, rząd francuski wyraźnie podkreślił, że nie może on w niczym naruszyć sojuszu Francji z Polską i z Rosją sowiecką. Ribbentrop zaznaczył wówczas, że jeśli chodzi o Polskę, deklaracja rządu francuskiego nie godzi w interesy Niemiec, które mają pakt o nieagresji z Polską i są przekonane, że najbliższe lata przyniosą dalszy rozwój przyjaznych stosunków.

Omawiając zagadnienie polsko-rosyjskie, Sumner Welles wypowiada pogląd, że traktat ryski, narzucony Sowietom po zwycięstwie Polaków pod Warszawą, pozbawił Rosję rozległych terytoriów. Terytoria te co prawda znajdowały się dawniej pod panowaniem polskim, ale ludność polską przeważnie nie przekracza tam 10%. Wprawdzie Rosja w Rydze skapitulowała, ale linia Curzona jest linią sprawiedliwszą, niż linia ustalona traktatem ryskim, i bardziej odpowiada zasadzie samostanowienia narodów.

Dramat Guglielma Ferrero

(Dokończenie ze strony 3-jej)

z czystych subiektywistów po ubogim ogródku swojej jaźni. Właściwie dramat jego jest uplatany w tym gąszczu, jest z nim zrośnięty, stanowi z nim jedno. Ferrero żyje rzeczywistością historyczną, jako własną rzeczywistością duchową. Stanowi uderzający przykład, że praktycznie poza rzeczywistością historyczną nie ma rzeczywistości duchowej.

Dokonana tu próba — próba analizy personalistycznej — miała na celu zbliżenie do przypadku, jaki przedstawia Ferrero. Trzeba by powtórzyć całą książkę niesłychanie bogatą, aby dać podbudowę historyczną poszczególnym aspektom zjawiska, pełny wyraz poszczególnym sprzecznościom dramatu.

Chcę jednak zwrócić uwagę na jeden szczegół w oświetleniach historycznych, który wydaje się rewelacyjny. Jest to stwierdzenie, że Rewolucja Francuska nie była czymś jednolitym, że właściwie były dwie rewolucje: „Wielka” i mała, rewolucja 1789 i rewolucja 1799, rewolucja „praw człowieka” i rewolucja „ustawy konstytucyjnej r. VIII”, rewolucja liberalna, zdążająca do rządów przedstawicielskich, i rewolucja dyktatorialna, która stworzyła praworządny ustroj totalitarny. Pierwsza — „Wielka” — narodziła się z ducha w. XVIII. Druga — „mała” — zaczęła się ze zburzeniem Bastylii, a od jej ruin padł na Europę i świat „wielki strach”. Z tych dwu rewolucji wywodzi się dwie legendy — obie fałszywe — jakobinska, przywłaszczona przez ruchy lewicowe i napoleońska, która stała się wzorcem wszelkiej reakcji.

Rzeczywiście, to proste rozróżnienie — o ile wiem, dokonane po raz pierwszy — wiele wyjaśnia. Stwarza najprostszą formułę całych nowoczesnych dziejów Europy i ostatniego, przeżywanego przez nas epizodu tych dziejów. Francja padła w r. 1940 w zderzeniu tych dwu rewolucji. Anglosasi walczą w imię „Wielkiej”; „oś”, która przedsięwzięła awanturę napoleońską „à l'allemande”, poszła torem „małej”.

Ale z tego rozróżnienia wynika może równie uderzająca, ważna także dla ujęcia personalistycznego — rewizja terminów, akt wyzwolenia, który by znalazł uznanie Stuartha Chase’a, autora książki „The Tyranny of Words”. Właściwie rewolucja, która nazywa się „Wielką” nie była wcale rewolucją. Stanowiła ona dążenie do zmiany orientacji, do ewolucyjnej przemiany ustroju życia, której wspaniałym przykładem był chrześcijaństwo. Rewolucja jest obalenie istniejącego porządku prawnego. Temu znaczeniu słowa odpowiada „14 Juillet”, zburzenie Bastylii — według Ferrera jedno z najbardziej tajemniczych i niewytłumaczalnych wydarzeń historii nowoczesnej — i wszystko co potem nastąpiło: zawalenie się monarchii, system napoleoński i wszystkie inne na tym prototypie wzorowane, aż do faszystowskiego i hitlerowskiego włączenie. Ferrero nazywa je „rządami rewolucyjnymi” i daje jedno z najbardziej miazdzących określeń totalizmu, mimo, iż nie ma w tym określeniu żadnej moralnie ujemnej oceny: „totalizm jest tylko najszerszym rozprzestrzenieniem (l'exteriorisation la plus complète) strachu, który draży rząd rewolucyjny”. Tu

w tym przerzuceniu szaleńczej paniki w świat upatruje Ferrero źródło trwającej od dziesiątków lat tragedii europejskiej.

Dopiero po tym sprostowaniu terminów rozumie się w pełni niemal religijny kult praworządności u Ferrera. Rozumie się jego nieprzejętą antyrewolucyjność. Rozumie się jego podział dla Anglii i Szwajcarii, które dokonały „rewolucji bez rewolucji”, uniknęły pomieszania pojęć i działań przeciwstawnych, ewolucyjnie, pokojowo przeprowadziły zmianę orientacji. Dzięki temu w Anglii ostała się monarchia i urzeczywistnił się, jak dotychczas najpełniej, ustroj demokratyczny, a droga do jego udoskonalenia jest ciągle otwarta.

Oczy Ferrera zwrócone są w stronę kraju, który udzielił mu przytułku i grobu, oraz w stronę kraju, który w czasie pisania tej książki ostatni trwał pod bombami. Ustroje tych dwu krajów stanowią dowód, że zakłamania jego dramatu osobistego znalazły praktyczne i społecznie ważne rozwiązanie.

Ostatnia praca autora „Discorsi ai sordi” wypływa z tych sprzeczności, w które nas wciągnęła podwójne słowo rewolucja. Myślę, że dobrze by go zrozumiał Charles Peguy, — tak niespodzianie a tak logicznie popularyny w odradzającej się Francji, — ponieważ ta książka rozwiązuje sprzeczność zawołania, które powtarzało się na każdym ze zrywów „Cahiers de la Quinzaine”: „La révolution sera morale ou elle ne sera pas”.

Dramat Ferrera jest dramatem człowieka, który aspirował całym życiem do nowego układu istnienia zbiorowego i jednocześnie wypracowywał podstawy, na których może się on urzeczywistnić — zasady praworządności. Jest to klasyczny dramat ideowego demokracji. Streszcza wszystkie zawody, wszystkie załamania się praktyki ideału demokratycznego, odsłania możliwości rozwiązania zawiązków, wskazuje drogę wszystkim wątpliwym, wszystkim rozczarowanym, wszystkim zgorzkniałym. Określa warunki, w jakich i za jaką cenę może się demokracja oblec w ciało życia. Jest w tym dramacie ogrom przemyslenia, ogrom wiedzy, bezcenna nauka dla tych, którzy stoją dziś i staną jutro wobec trudności urzeczywistnienia demokracji. Stanowi ten dramat apel do ludzi nie zajmujących się czynnie polityką. Od nich, od elity, jak chce Ferrero, od zbiorowej opinii moralnej, zależy wielka przemiana życia, poruszenie mas ludzkich od dna w taki sposób, w jaki poruszała je każda „dobra nowina”, gdy uderzała w nie światłem, pociągająca obietnicą i uniósł ku heroizmowi. Tkwi taka siła w demokracji, która — według słów Ferrera — „jest jednym z największych aktów zaufania ludzkości do samej siebie, ponieważ przez ten akt rządy świata wróciły do rąk własnych człowieka”.

Jeśliby demokracja chciała mieć swój Panteon — Guglielmo Ferrero byłby może jego świeckim świętym, jedynym z jego męczenników, jednym z uczonych demokratycznego prawa, jednym z ojców demokratycznego kościoła ludzkości.

Tymon Terlecki,

„Każdy bezstronny obserwator musi podziwiać wspaniałą wiarę i patriotyzm narodu polskiego”, — mówi Welles. — Opari się on wszelkim próbom wynarodowienia, oparł się najreakcyjniejszym siłom, ale nie może wymagać, aby świat uważał za święte granice Polski z r. 1772 (sic! — autor dwa razy popełnia ten sam błąd, myląc granice Polski sprzed pierwszego rozbioru z granicami sprzed drugiego rozbioru, 1792). Na wschodzie Polska powinna otrzymać tylko te ziemie, na których ludność polską stanowi większość. Będzie to w zgodzie z dobrze zrozumianym interesem Polski, która potrzebnie się wrogo nastrojonych mniejszości narodowych. Sowiety są uprawnione do stworzenia w Europie wschodniej systemu regionalnego, złożonego z chętnych do współpracy i przyjaznych państw niezależnych, sąsiadujących z Rosją.

Gdyby jednak Rosja ów system regionalny uważała za narzędzie do stworzenia szeregu protektoratów, jako kroku wstępnego do wcielenia ich do Sowietów, dowiodłaby, że wkracza na drogę ekspansji politycznej. Sumner Welles domaga się plebiscytów na terytoriach spornych, przy czym oczywiście, muszą to być plebiscyty prawdziwe, a nie takie jakie Rosja przeprowadziła w r. 1939 — trudno je uważać za coś innego niż za zamaskowanie okupacji wojskowej.

Polska — powiada dalej Welles — musi z następujących powodów otrzymać Prusy Wschodnie: 1) korytarz był rozwijaniem niedostatecznym, utrzymywał stan napięcia między Polską a Niemcami, w razie wojny oddawał Polskę na pastwę Niemiec; 2) przyszła Polska powinna uzyskać rozleglejszy i łatwiejszy niż dotąd dostęp do morza; 3) Polsce grozi utrata znacznej części jej terytorium na wschodzie na rzecz Rosji i dlatego winna otrzymać odszkodowanie na zachodzie, aby mogła stać się rzeczywistą „silną i niepodległą”. Jednocześnie część dawnego polskiego „korytarza” powinna przypaść Niemcom, z pozostawieniem Gdyni i Gdańska przy Polsce.

Przejęcie Prus Wschodnich pod panowanie Polski stawia zagadnienie przesiedlenia ludności. Według Sumnera Wellesa, nie sprzeciwia się to zasadzie samostanowienia narodów, głoszonej przez Kartę Atlantycką. Karta Atlantycka przeciwstawia się jedynie zmuszaniu tego czy innego narodu do pozostawiania pod panowaniem, którego sobie nie życzy. Tak np. Niemiec nie może być zmuszony do pozostawiania obywatelom polskim, podobnie Polak nie może być zmuszony do pozostawiania obywatelom rosyjskim. Przyłączenie Prus Wschodnich do Polski nie spowoduje masowego przerzucenia ludności tego kraju — jak była — spod jednego panowania pod inne. Przeciwnie, każdy człowiek, który zechce zachować dawną narodowość, będzie mógł wyemigrować i uzyskać całkowite odszkodowanie za straty materialne, jakie poniesie z tego powodu. Każde przesiedlenie ludności połączone jest z cierpieniem ludzkim, ale w tym wypadku stworzy ono stabilizację stosunków w Europie wschodniej i zapobiegnie przyszłej wojnie.

Niezależnie od oderwania Prus Wschodnich, Sumner Welles głosi konieczność podziału Niemiec na trzy odrębne państwa: Niemcy północno-zachodnie, Niemcy północno-wschodnie i Niemcy południowe.

Wojna polsko-niemiecka

Znany dziennikarz włoski, Filippo Bojano, korespondent agencji Stefani w Berlinie i w Moskwie, w książce *In the Wake of the Goose-Step**, odmalowuje nastroje we Włoszech i w Niemczech w okresie faszystów i narodowego socjalizmu, poświęca nieco uwagi wojnie polsko-niemieckiej. Bojano twierdzi, iż „Polska była całkowicie pewna, że nie tylko potrafi się oprzeć Niemcom, ale że może odnieść i zwycięstwo... Jest rzeczą niezrozumiałą, jakim sposobem rządzący padli ofiarą podobnej ślepoty. W Warszawie mówili zupełnie otwarcie, że, być może, w niedalekiej przyszłości kawaleria polska będzie zwycięsko defilowała przez Bramę Brandenburską”. Polski sztab główny utrzymywał, że panuje przesadne wyobrażenie o zbrojeniach niemieckich. Tego rodzaju fałszywa opinia jest tym więcej zastanawiająca — dodaje Bojano, — że ambasador polski w Berlinie Lipski był człowiekiem inteligentnym i że miał sytuację, która powinna mu być ułatwić zdobycie dokładnych wiadomości o istotnym stanie rzeczy: „Przez dłuższy czas był stałym gościem Goebbelsa i niezmiennie zjawiał się na każdej demonstracji nazistowskiej”.

Obie zresztą strony myliły się w swoich przewidywaniach: Hitler przypuszczał, że „dumny opór”, jakim Polska odpowiedziała na jego wyzwanie, da się przełamać przy pomocy pogroźek; Polska była przekonana, że Hitler bluffuje; Wielka Brytania i Francja liczyły, że Polska będzie się broniła przez pół roku. Jedynie stolice małych państw zdawały sobie sprawę z rzeczywistości.

„Dnia 29 sierpnia rano przyszła wiadomość, że gabinet polski zarządził powszechną mobilizację. Polska nie traciła czasu. W tej chwili dywizje polskie strzegły granic, a na lotniskach w korytarzu siły powietrzne Śmigłego-Rydza trzymały samoloty, gotowe do śmigania się w niebo nad Prusami”.

O samym przebiegu wojny Bojano niewiele ma do powiedzenia. Notuje, że „interwencja Rosji była wypadkiem, którego naród niemiecki nie mógł pojąć. Dnia 17 września kawaleria rosyjska załaziła Wołyn, aby szybciej wykończyć Polskę. Dokonał się proces wcielenia w życie paktu rosyjsko-niemieckiego”.

Z polecenia agencji Stefani, Bojano udał się do planującej jeszcze Warszawę, „pierwszego miasta umęczonego w czasie obecnej wojny”: „Hitler rzucił się na Warszawę z dziką złością zbrodniarza, tylko dlatego, że oparł się mu bohaterstwo i dlatego, że na zagarniętych terytoriach Polacy na najazd niemiecki odpowiedzieli dokonaniem swoich „franc-tirerów”.

*) Sumner Welles. The Time for Decision. Londyn, Hamish Hamilton, 1944; str. 331 i in. i tabl. 1.

*) In the Wake of the Goose-Step by Filippo Bojano. Translated from the Italian by Gerald Griffin. Londyn, Cassel, 1944. Str. 141 i 1 nl.

Zwycięstwo Labour Party

(Dokończenie ze str. 1-ej)

labourzyści — 171, a zbliżeni do prawego skrzydła socjalistów liberałowie — 19. Resztę stanowili postawie niezależni, drobne grupy lewicowe, komunisti, nacjonalisci walijscy itp. W parlamencie powiększonym do 640 miejsc Labour musiałaby więc uzyskać 128 nowych miejsc, aby znaleźć się na swym najwyższym dotychczasowym poziomie (z r. 1929), kiedy była najliczniejszą partią w parlamencie, chociaż bez absolutnej większości.

Dla jej zdobycia dzisiaj potrzebne było Labour 150 nowych mandatów. Tu jednak trzeba wziąć pod uwagę, że formalna większość jednego głosu niewątpliwie nie wystarczy, zwłaszcza w warunkach angielskich, do przeprowadzenia reform tak doniosłych, jak socjalizacja pewnych gałęzi przemysłu. Dla osiągnięcia większości istotnej, decydującej, była konieczna co najmniej proporcja 340 posłów socjalistycznych wobec 300 posłów opozycji, rzecz równoznaczna z koniecznością uzyskania 169 miejsc ponad pozycję Labour w ostatnim parlamencie. Oczywiście, że podobny wzrost mandatów socjalistycznych mógł nastąpić tylko jedną drogą, tj. przez gwałtowny spadek liczby mandatów konserwatywnych. Zatem — prawdziwe zwycięstwo Labour w parlamencie musiało także być prawdziwym zwycięstwem w społeczeństwie; sukces Labour wymagał zdecydowanego zwrotu opinii, pozyskania głosów klasy średniej, przekształcenia Labour z organizacji raczej typowo klasowej, opartej na związkach zawodowych, w wielką nowoczesną partię socjalistyczną, sięgającą swą doktryną do wszystkich warstw społeczeństwa. Nadchodzące wybory stały się dla angielskiej partii socjalistycznej próbą, czy potrafi w pełni zająć miejsce partii liberalnej od 200 lat współzawodniczącej z torysami, czy potrafi w tym stopniu co liberałowie nabrać charakteru organizacji n a r o d o w e j, posiadającej n a r o d o w y, jeśli idzie o jego zasięg, program. Wkraczając w okres wyborczy Labour rozpoczęła walkę o tę stawkę: w grze nie było już uzyskanie tych czy innych koncesji dla świata pracy, ale ambicja zmiany systemu rządzenia.

Dlatego też nie wrócono Labour prawdziwego sukcesu, lecz się wprawdzie z pewnym wzmocnieniem jej sił. Ogólne przewidywania albo wyjawiały, lub po prostu z trudem ukrywały myśl, że nie trzeba spodziewać się wielkich zmian i że, wobec prawdopodobnego osobistego sukcesu Churchilla, powstanie nowa koalicja pod jego przewodnictwem. Stąd wreszcie wyciągano wniosek, iż niepożądana jest ostra kampania wyborcza, jako utrudniająca przyszłe porozumienie.

Rzeczywistość niewątpliwie zrobiła niespodziankę. I przemówienia przedwyborcze mocno i dość krótko stawiały sprawę i wyborcy wybierali raczej przeciwnie, niż zoty środek. Sympatyczny pod wielu względami program liberałów Sir Arch. Sinclaira nie znalazł zwolenników. Ze znacznej ilości (306) liberalnych kandydatów przeszło zaledwie dziesięciu, przepadł głosy Sir William Beveridge pokonany przez konserwatywnego przeciwnika, nie uzyskał miejsca w parlamencie lider partii — Sir Sinclair. Liberałowie spodziewali się renesansu swego kierunku — obecne wybory spychają ich na drugorzędne miejsce, wyraźnie ustanawiając nowy układ angielskiego parlamentu, w którym torysi przeciwstawieni zostają labourystom. Pomniejsze partie poniosły klęskę zupełną i tylko komunistom udało się zdobyć drugi mandat (z Londynu) obok poprzedniego (ca 100 tys. głosów).

Ilość głosów oddana na labourystów przewyższa o blisko trzy miliony głosy konserwatywnych. Ow. stosunek głosujących „Labour — 11 941 501” do „konserwatysty — 9 056 672”, w Anglii nie znającej tzw. listy państwowej, a jedynie zwycięstwa lub porażki w jednomandatowych okręgach, doprowadza do absolutnej przewagi Labour w parlamencie. Prowizorycznie oceniają socjaliści na blisko 400 mandatów, konserwatysty na ca 200 mandatów. Na partie opozycyjne w stosunku do polityki torysowskiej padło 14 i pół miliona głosów, za zwolennikami konserwatywnego rządu, przeprowadzającego wybory — około 10 milionów głosów. To dostatecznie oddaje zasięg zmiany nastrojów politycznych.

Porażka konserwatystów była szczególnie dotkliwa. Nie zyskały mandatu tak znane osobistości, jak Brendan Bracken, Leslie Hore-Belisha, Richard Law, gen. Spears — ogółem 21 ministrów konserwatywnych znalazło się poza parlamentem (czyli połowa rządu), w tym pięciu z tzw. rangą gabinetową, tj. należących do ścisłego zespołu 16 ministrów obsadzających kluczowe stanowiska w rządzie. Z opozycją spotkał się nawet „national hero” — sam Churchill, którego przeciwnik, lokalny labourysta, zebrał 10 tys. głosów, ulegając jednak byłemu premierowi.

V

Co zdecydowało o tak wyraźnym zwycięstwie Labour Party?

Konserwatysty odnosili w przeszłości podobne sukcesy, osiągając 519 mandatów w wyborach 1931 r. i 431 w r. 1935. Novum istotne stanowi wykazanie przez Labour, iż posiada te same możliwości i że zdolna jest skupić, pod swoim sztandarem nie tylko ludzi klasy, której interesów broni, ale i szerokie masę społeczeństwa — tak właśnie jak dotąd na przestrzeni lat 1918-1929 czynili to konserwatysty i liberałowie, a od 1931 wyłącznie konserwatysty. Wreszcie jest to prze-

łamanie monopolu rządzenia, znajdującego się od dwóch dziesiętków lat w rękach konserwatystów, z krótkimi przerwami na rządy Mac Donalda, który zresztą oderwał się od partii, jaka go wyniosła do godności premiera.

Na „unarodowienie”, jeśli tak się można wyrazić, Labour Party, wpłynęły zarówno głębsze przemiany społeczeństwa angielskiego, jak i bezpośrednie powody, do których należały błąd kampanii konserwatywnej.

Obie strony na równi obiecywały pełne zatrudnienie, intensywną walkę z bezrobociem, wzmocnienie produkcji, szybką budowę domów, reformę szkolnictwa i reformę ubezpieczeń. Konserwatysty jednak na zapowiadane reformy nakładali ograniczenia, zamykając je w ramach rządowego White Paper z czasów koalencji, obok tego zaś jako jedno z naczelnych haseł wyborczych umieścili slogan dekontroli — zniesienie ograniczeń konsumpcji i produkcji nałożonych podczas wojny miało otworzyć drogę do nowego raję na ziemi w zwycięskiej Anglii.

Tą właśnie obietnicą chciano pociągnąć wyborców, wydaje się, że raczej ich przestraszało. Kontrola oznaczała dla przeciętnego obywatela zapewnienie pewnego minimum płacy i gwarancję otrzymania podstawowych produktów po niskich cenach ustalonych przez rząd i w ilościach zapewnionych oficjalnym przydziałem. Gdy do tego dodamy, że podczas wojny nadzorowanie rynku doskonale zdało egzamin, zrozumiemy, że „człowiek ulicy” raczej wolałby widzieć utrzymanie owych ograniczeń, które utrudniały bogatszym osiągnięcie wyższej stopy życia, ale podnosiły stopę życiową ubogich. (Konkretny przykład może stanowić dystrybucja mleka, która właśnie w okresie kontroli poważnie wzrosła, przyczyniając się do podniesienia ogólnego stanu zdrowia. Nikt nie otrzymywał wiele mleka ale otrzymywali go wszyscy, zwłaszcza zaś matki i dzieci.)

Fabryki przemysłu wojennego poczęły ograniczać produkcję, lub wręcz ją likwidować. Tam — gdzie przestawiano się na inny, pokojowy już, rodzaj wytwórczości, proponowano robotnikom albo redukcję, albo dłuższe kontrakty z niższą płacą. Widmo bezrobocia, chociaż na razie nie miało, zaczęło powracać do Anglii.

W tych warunkach i żołnierz oczekujący demobilizacji, i robotnik oczekujący zamknięcia swej wojennej fabryki, szukali programu energiczniejszego, bardziej stanowczego w rozwiązywaniu kwestii zatrudnienia, niż program konserwatystów. Ponadto wszyscy mieli ziele doświadczenia z rządami konserwatystów — okres władzy torysów spotykał się z dwoma zasadniczymi oskarżeniami: wzrost bezrobocia i narażenie kraju na niebezpieczeństwo klęski w wojnie z Niemcami. Czemuż więc, po takiej próbie, nie miano by spróbować innego sposobu zaradzenia złu?

Anglię przenika wielkie pragnienie pokoju, poczucie konieczności reform wewnętrznych, uwspółcześnienia tak dotąd izolowanego wyspiarskiego życia, unowocześnienia przemysłu, który dziś już bije wydajnością niebezpieczną konkurencja amerykańska. Ostatnie mowy Churchilla, pełne patetycznych ostrzeżeń, wzbudziły niepokój a wraz z nim — prawem paradoksalnej reakcji — cichą chęć zamiany owego grzmiejącego leadera wojny na człowieka bardziej przystosowanego do roli budowniczego pokoju. Kraj uznał, że pod przewodnictwem p. Clement Attlee iacniej porozumie się z Rosją i utrzyma alians Wielkiej Trójki, będący podstawą obecnego pokoju.

Obietnice obu głównych przeciwników w wyborach były zbliżone, ale Labour stawiała pewien dosadny warunek. Teza wyborcza Partii Pracy brzmiała, że bez upaństwowienia kopalń, kolei, transportu, części systemu bankowego, źródeł energii i kilku kluczowych przemysłów nie da się zrealizować pełnego zatrudnienia. Wyborca wierzył jej. Wolno się jednak spytać, gdzie istnieje gwarancja, że spełnienie tych właśnie warunków istotnie da wielki popyt na pracę, tani pieniądz, tani kredyt, rozmach inwestycyjny i rozkwit handlu zagranicznego. Sedno rzeczy leży więc raczej w czym innym, w poprawie metod produkcji, w talencie administracyjnym nowego rządu, w zręcznej polityce walutowej. Reformy, bardzo zresztą umiarkowane, jakie Labour zapowiedziała w swym programie wyborczym, nie zdziwią człowieka kontynentu. Wydadzą mu się one dość trafnym określeniem współczesnego koniecznego udziału państwa w budowaniu gospodarki narodowej. Nie w tym też tkwi najważniejsze znaczenie wyborów. Leży ono głównie w fakcie wyrażenia opinii przez społeczeństwo brytyjskie, iż pragnie ono powrócić do zwykłego życia pokojowego i zająć się sprawami, na które nie miało czasu co najmniej od r. 1936. Czy będzie czas teraz? — zależy to od rozwoju sytuacji międzynarodowej. Na jej te dobrze się stało, że zwycięstwo rządu socjalistycznego i jego działalność przynajmniej pomniejszy pewne anomalie życia gospodarczego i społecznego, uodporniając Anglię wobec komunizmu. Przywódcy zaś Labour zasiadając przy stole obrad wspólnie z politykami sowieckimi zetkną się, zamiast — jak dotąd — ze zręczną propagandą, z rzeczywistością. To może rychło doprowadzić ich do wewnętrznych konfliktów między hasłem pokoju oraz planami uwarunkowanych przez niego reform, a socjalistycznym ideałem sprawiedliwości międzynarodowej. Im prędzej konflikt ten rozegra się w łonie socjalizmu — tym lepiej. Jest on bowiem konieczny. Od jego rozstrzygnięcia zależy w istotny sposób los Europy, a przede wszystkim dalsze losy sprawy polskiej.

zb.

Co zrobić z Niemcami?

(Dokończenie ze str. 2-ej)

8

Rzesza jest zdziesiątkowana. Upust krwi, jakiego dokonał na niej Hitler, największy wróg narodu niemieckiego, może mieć trwałe skutki. Jak wyprawy Napoleona wyczerpały zasoby narodu francuskiego i sprawiły, że załamały się imperialne dążenia Francji w Europie, tak wyprawa Hitlera, całkowicie szaleńcza, bo Rzesza była w stanie uzyskać przewagę w Europie bez wojny — zapewne kończy okres niemieckich podbojów. Niemcy będą mogły stać się ważnym państwem europejskim, ale nie będą już chyba nigdy mocarstwem światowym. W przyszłości będą zdolne prowadzić wojnę tylko w oparciu o prawdziwe mocarstwo, a zatem o jedno z państw „Wielkiej Trójki”. Po obecnej klęsce najemnicy niemieccy na pewno nie spoczną. Będą oni szukali sposobności rewanżu, choćby pod obcą flagą i na obcej służbie...

9

I tu dochodzimy do sedna rzeczy, niepokojącego sedna rzeczy. Polityka aliancka wobec Niemiec może się powieść tylko pod warunkiem zgodności zamiarów i planów wobec pokonanego wroga. Rzesza może istotnie być utrzymana w stanie słabości, może powoli nałamać się do warunków życia w gromadzie europejskiej, jeżeli będzie istniała rozumna i wspólna polityka zwycięzców.

Rzesza jest w izolacji, otoczona pierścieniem pogardy i niechęci. Jest, jak powiedział niedawno przez radio nowojorskie Tomasz Mann, „zamknięta w ghetto moralnym”, Europa brzydzi się Rzeszą. Droga do wspólnoty europejskiej będzie druga, gdyż Rzesza skompromitowała europejskie ideały. Uniemożliwiła na drugie lata stworzenie jednoci kontynentu, w której przeciwieństwo trzeba uwzględnić także i Niemcy. Europa może dzisiaj wadać Rzeszą i wykorzystywać ją jako teren. Trzecia Rzesza, wróg Europy, wyłożyła się sama ze zbiorowości narodów europejskich.

Ale manewry polityczne mogą sprawić, że w tych nastrojach zajdą zmiany. Gdyby okupacja Rzeszy została dokonana przez kontyngenty wojskowe wszystkich narodów sprzymierzonych, gdyby wszystkie kraje sojusznicze przedstawiły swobodnie i bez cudzych podstępów swoje poglądy na rozwiązanie zagadnienia niemieckiego, można by dojść do jednolitego planu wobec Niemiec naprawę zgodnego z celami wojennymi narodów Zjednoczonych. Natomiast podział Niemiec na trzy okupacje, ewentualnie na cztery, jeżeli liczyć okupację francuską, rządzone w różnoraki sposób, tai w sobie liczne niebezpieczeństwa. Rzesza może łatwo stać się przedmiotem targów między „Wielką Trójką”.

Pisząc jeszcze w r. 1943 na łamach londyńskich „Wiadomości Polskich” zaznaczałem, iż zaraz po wojnie rozpocznie się „walka o duszę Niemiec” i że „wielka bitwa dyplomatyczna tej wojny nie odbędzie się o Warszawę, ale o Berlin”. Nic na razie nie wskazuje, ażeby prawdopodobieństwo takiej walki zostało przekreślone. Przeciwnie, istnieją oznaki, że zachodnia i wschodnia części Rzeszy Niemieckiej już oglądają odmienne polityki okupacyjne i że walka o „duszę Niemiec” już jest w toku.

10

Po stronie sowieckiej mamy do czynienia z chęcią wykazania narodowi niemieckiemu, że opowiadania o straszliwych zamiarach Rosji wobec Rzeszy były bajką o żelaznym wilku. Propaganda sowiecka tłumaczy, że naród niemiecki winien „oceniać wspaniałość myślności Rosji”. Gdyby bowiem — powiada Moskwa — Rosjanie zechcieli istotnie dokonać zemsty wówczas „nie zostawiliby w Rzeszy kamienia na kamieniu”. Raporty z Berlina powiadają, że liczni mieszkańcy tego miasta oraz przedstawiciele życia kulturalnego składają wladzom sowieckim ustawiczne dowody uznania za tego rodzaju stanowisko. Rosjanie popierają w swojej sferze okupacyjnej w Berlinie życie teatralne, ruch koncertowy, dostarczają masowo sowieckim filmów dla kin niemieckich. Świadczy ludność Berlina pewne uprzejmości i grzeczności.

Co będzie po stronie zachodniej? Rządy raczej surowe, może nawet wielkie zaciskanie pasa. Wschodnia część Rzeszy jest mniej zniszczona niż zachodnia, zasoby rolne są na wschodzie o wiele większe niż na zachodzie. Wygrzywanie tych różnic przez jedną ze stron — a jest to najbardziej czuły punkt dla zmateralizowanego społeczeństwa niemieckiego — może się okazać zabiegiem bardzo niebezpiecznym.

11

Zagadnienie podziału Niemiec było już obszernie dyskutowane w publiczności. Ale życie znowu wybiegło poza te rozważania.

Wielu obserwatorów uważało, iż sztuczne, forsowne rozbijanie Rzeszy jest niecelowe, wywoła bowiem reakcję i skłoni nacjonalizm niemiecki do fanatycznego oporu. Piszący te słowa należał raczej do obozu tych, co nie patrzyli chętnie na forsowanie rozbijania Rzeszy. Ale równocześnie uznawał, że jeżeli powstaną warunki, w których Rzesza poczyni sama tracić spoiwość, alianci powinni wykorzystać tę sposobność. Wydaje się, że taka właśnie koniunktura dzisiaj powstaje. Zniszczenie miast, dezorganizowanie centrum berlińskiego, rozmaite okupacje — oto warunki, w których mogą łatwo odżywać dawne separatyzmy niemieckie. Jeżeli proces rozkła-

du Rzeszy będzie naturalny, było by nierozsądne temu się sprzeciwiać.

12

„Zmniejszenie nadmiernej potęgi Rzeszy” — oto jak jeden z publicystów brytyjskich określił minimalne warunki zwycięstwa nad Rzeszą. Warunki te i cele zostały nie tylko spełnione, ale nawet znacznie przekroczone. Wspomniany publicysta brytyjski uważał, że pewne zmiany graniczne w Rzeszy należą właśnie do owego procesu „zmniejszenia potęgi Niemiec”.

Istotnie, zmniejszenie obszaru Rzeszy na wschodzie narzuca się niejako automatycznie. Prusy Wschodnie winny znaleźć się poza obszarem Rzeszy i z powrotem zostać związane z Polską. Posuwanie granic polskich do Frankfurtu nad Odrą i poza Szczecin, próby polszczenia Wrocławia itd. kryją niebezpieczeństwo pchnięcia Polski na tereny trudne, które w razie zmiany polityki Rosji wobec Rzeszy mogą łatwo stać się przedmiotem przetargów. Polska winna być bardzo ostrożna w przyjmowaniu darów terytorialnych, skoro istnieje obawa, że dary te mogą być odebrane albo zakwestionowane. Polityce polskiej nie wolno być narzędziem programu obcego mocarstwa — przy zmianie tego programu nasze zdobycze na zachodzie mogą się znaleźć w sytuacji nie do obronienia. Uważam, że wszelkie zmiany graniczne na zachodzie Polski winny być dokonane na zasadzie umowy międzynarodowej, zatwierdzonej przez mocarstwa i oparte o zgodną opinię świata. Tylko takie nabytki mają szansę trwałości. Inaczej okazać się one mogą darami Danaów.

Wydaje się, że zagadnienie granic jest dzisiaj w Europie mniej ostre aniżeli po pierwszej wojnie. Bezpieczeństwo i tzw. granice strategiczne straciły część swego znaczenia w dobie latających bomb i rakiet. Niepodległości i niezależności państw nie zabezpieczają jeszcze nabytki terytorialne. Tylko w ramach organizacji bezpieczeństwa na skalę światową Europa może swobodnie odetchnąć. Inaczej hasła zmian granicznych okazać się mogą „opium dla narodów” — odciągając ich uwagę od istotnej sprawy, sprawy ich niepodległości.

13

Zagadnienie niemieckie jest problemem olbrzymiej wagi. Wymaga ono ustawicznej czujności. Będzie zajmował w polityce ważne miejsce przez wiele lat i na pewno nie będzie statyczne. W tej chwili mamy w rękach wielką szansę: trwałego omezwadnienia Niemiec złamania imperializmu Rzeszy i wciśnięcia tego kraju w ramy Europy. Możemy tego dokonać pod jednym warunkiem: jeżeli między sojusznikami istnieje będzie jednosc celów i zamiarów. Jeżeli sojusznicy uzgodnią między sobą postępowanie wobec Rzeszy, zamiast wygrywać ten kraj dla celów własnej polityki. Jeżeli Rzesza nie stanie się przedmiotem targów i walk dyplomatycznych.

Ta jednosc celów — a przynajmniej podstawowa zgodnosc, albowiem całkowita jednosc jest nieosiągalna — stanowi klucz do zagadnienia przyszłości Niemiec. Jeżeli tej podstawowej zgodności nie będzie, a obserwacja ostatnich wydarzeń w poszczególnych strefach okupacyjnych upoważnia do przypuszczeń wręcz przeciwnych, problem Niemiec wyrodi się w groźny proces, którego przebiegu i następstw nie sposób nawet dzisiaj określić. Wreszcie — zgodnosc celów polityki alianckiej w Niemczech możliwa jest tylko wtedy, jeżeli polityka ta znajdzie wspólny język we wszystkich problemach europejskich. Cały zaś stosunek poszczególnych aliantów do problemu polskiego jest dowodem tendencji wręcz odmiennej i rosnącej rozbieżności między wschodnim a zachodnim aliansem.

Zbigniew Grabowski.

Artykułem pióra Zbigniewa Grabowskiego, którego nie wszystkie poglądy redakcja podziela, rozpoczynamy dyskusję na temat zagadnienia niemieckiego, której dalszy ciąg znajdzie czytelnicy w następnych numerach. M. in. zapowiedzieli już swoje artykuły X. Kamil Kantak i Wł. Polak.

Errata

W artykule p. Tymona Terleckiego pt. „Poezja Beaty Obertyńskiej” zamieszczonym w nrze 6 (48) „W Drodze” z dn. 16 kwietnia br. wskutek niewyważnej odfiki nadesłanego tekstu, wkradło się w pierwszy spalec powyż wspomnianego artykułu kilka omyłek, które niniejszym prostujemy:

Wiersz 8-my od góry winien brzmieć: „Oto jak nurek wypłutuje się z sennej dziwotworności”

Wiersz 29-ty od góry winien brzmieć: „...w tle czerwieni się głośno jeszcze austriacka cytadela”.

Wiersz 5-ty od góry winien brzmieć: „...w niewątpliwie nowoczesnym zbrzmieniu”

Nowość!

SZYMON ASKENAZY

„Ks. Józef Poniałowski”

Wydanie V

Nakład wydawnictwa „W Drodze”

Wydawca: Ignacy Pokrywa
Jerusalem, Bezalel Street, House Valero
Redaktor: St. A. Balicki
Drukarnia: The Jerusalem Press Ltd.